ROCZNIK X. Czerwiec 1906. Tom. III. - Nr. 6.

Wiadomości Salezyańskie

Organ Związku Pomocników Salezyańskich.

* Turyn - Via Cottolengo, 32 *

TREŚĆ:

Str.
Na miesiąc czerwiec 113
Dekret Św. Kongregacyi Soboru Trydenckiego o częstej i codziennej Komunii św. 114
Pieśń do św. Stanisława, Biskupa i Patrona Polski 117
Sprawa katolicka w Polsce 118
Misyonarze wygnańcy 120
Misye salezyańskie: Z Indyi 123
— Patagonia południowa: Wycieczka na wyspę wielką Ziemi Ognistej 125
— Z innych krajów: *Chiny, Peru, Matto Grosso* 128
Wiadomości potoczne: *Daszawa: Wizyta J. E. ks. Arcb. Teodorowicza. — Następca X. Bosko w Portugalii. — Betleem: Sprawozdanie z czynności Ochronki katolickiej* 129
Z naszego skarbca *czyli odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy Salezyańscy w miesiącu czerwcu* . . 132
Łaski Najśw. Maryi Panny Wsp. Wiernych . . . 133
Rozmaitości: *Na wakacye* 135
Żywot X. biskupa Alojzego Lasagni 137
Nekrolog. 140

NA MIESIĄC CZERWIEC.

Punktem kulminacyjnym całego chrześcijaństwa w praktyce, jest niezawodnie pożywanie Ciała Chrystusowego. U tego Stołu Niebieskiego, gdzie Najwyższy, Wszechmocny nie tylko bierze w swe objęcia, ale daje się pożyć przez nędznego Łazarza, który się jeszcze nie wyleczył z brzydkiego trądu grzechowego, miłość święci tryumf niesłychany i podnosi człowieka do godności boskiej. To też Sakrament eucharystyczny stanowił zawsze dopełnienie wszelkich obrzędów i uroczystości religijnych; był niejako szczytem, do którego zdążali pątnicy po długich pielgrzymkach, był celem i końcem życia cnotliwego. Dla spotęgowania czci ku temu Sakramentowi zatwierdzał Kościół i sam propagował coraz nowe nabożeństwa, urządzał obchody, procesye, błogosławił stowarzyszenia wiecznej adoracyi, nadawał im liczne odpusty.

Taki sam cel ma rozpowszechnione już dziś *nabożeństwo do Najsł. Serca P. Jezusa.*

Miłością ma się temu Sercu odpłacić za umiłowanie do tego stopnia, że nie wahało się Ono wyniszczyć dla ludzi i zamieszkać w świątyniach naszych, nieraz nader ubogich i zapomnianych. Praktyką zaś najprzedniejszą tego nabożeństwa jest uległość wezwaniu samego Zbawiciela, który prosi nas i błaga: *Chodźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja wam*

dopomogę. Zbliża się coprawda do Zbawiciela, kto uczęszcza do kościołów, słucha czytanek i kazań, śpiewa pieśni nabożne: lecz to wszystko niczem innem nie jest, jak przypatrywaniem się z daleka wdziękom tego wzniosłego wytworu Boskiej i wszechmocnej miłości; czyż bez porównania większem szczęściem nie jest całkowite zjednoczenie się z Nim w Eucharystyi?

W tej to myśli odezwał się obecnie najwyższy Pasterz Kościoła, Ojciec św., i wydał do całego świata katolickiego dekret o częstem przystępowaniu do Komunii św. My, których ze Stolicą Św. tyle węzłów łączy, którzy z zadania i głównego celu mienimy się gorliwymi wykonawcami życzeń Papieża, podajemy dziś jego słowa, będące słodkim balsamem na dzisiejsze rany i bolączki społeczne. Weźcie je, drodzy Pomocnicy, pod rozwagę, starajcie się wniknąć w ich myśl, a co najważniejsza, wprowadźcie je w życie. Dla niejednego będzie to nowością, niejeden w wykonaniu ich będzie widział niezliczone trudności, ale koniec końcem jestto wola Namiestnika Chrystusowego, który się nie myli, i który zawsze i wszędzie jest wiernym stróżem nauki ewangelicznej.

DEKRET
Św. Kongregacyi Soboru Trydenckiego o częstej i codziennej Komunii św.

Święty Sobór Trydencki mając na względzie niewyczerpane skarby łask, jakie wierni otrzymują w Komunii św., w następujących słowach wyraża swą myśl na sesyi 22, roz. 6: *Święty Sobór pragnie, aby na każdej Mszy św. obecni nietylko duchownie komunikowali, ale również i przyjmowali Komunię św. sakramentalną.* Słowa te jasno wykazują, że Kościoła życzeniem jest, aby wszyscy wierni co dzień brali czynny udział w tej niebieskiej uczcie i wyciągali stąd jak najobfitsze owoce uświątobliwienia duszy.

Życzenie to odpowiada najzupełniej pragnieniu, jakie miał Zbawiciel, ustanawiając ten boski Sakrament. I rzeczywiście niejednokrotnie, w jasnych i określonych słowach mówił Jezus o niezbędnej konieczności częstego pożywania jego Ciała i picia jego krwi, zwłaszcza u św. Jana (VI, 59): *Ten ci jest chleb, który z nieba zstąpił. Nie jako ojcowie wasi jedli mannę i pomarli. Kto pożywa tego chleba, żyć będzie na wieki.* Z tego przyrównania Eucharystyi do chleba i manny mogli apostołowie łatwo zrozumieć, że jak chlebem codziennie się żywimy, jak manna na puszczy codzień świeża spadała, tak tym chlebem anielskim dusza codzień może się zasilać i odradzać. Oprócz tego w słowach modlitwy „Ojcze nasz,“ w których Zbawiciel nakazuje prosić o „nasz chleb powszedni,” Ojcowie Kościoła prawie jednogłośnie upatrują nie tyle znaczenie chleba materyalnego, potrzebnego ciału do życia, ile Chleb eucharystyczny, który codziennie należy przyjmować.

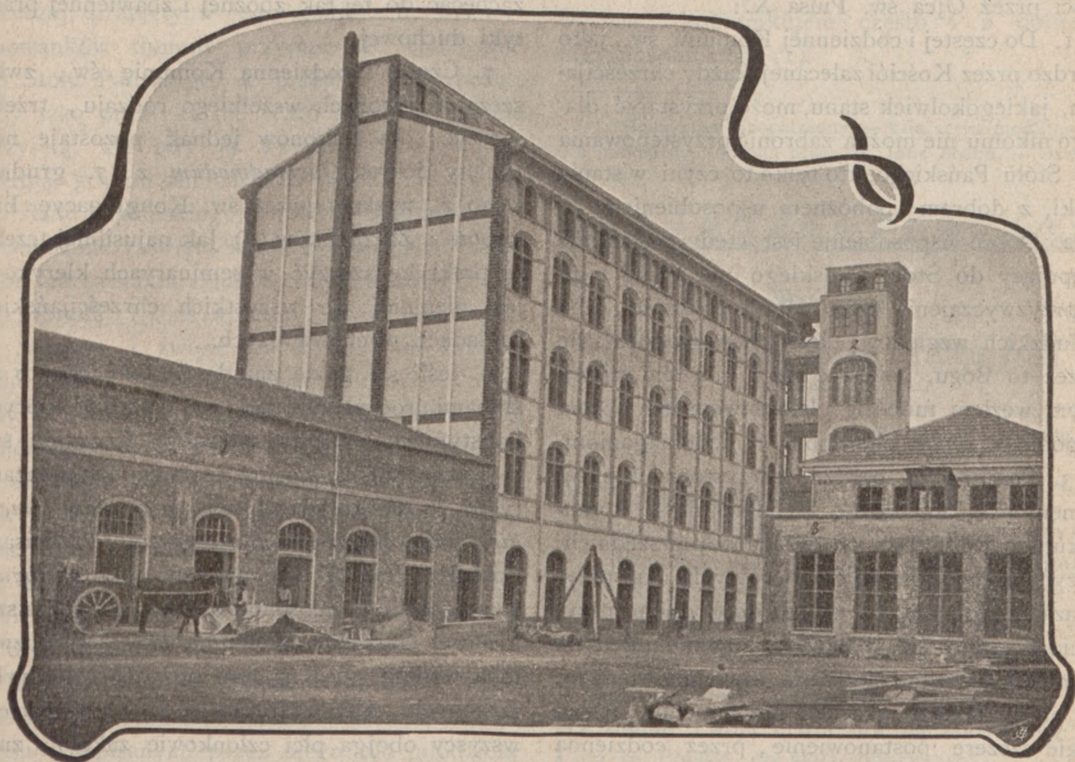
Jezus Chrystus więc i Jego Kościół dlatego pragną, by chrześcijanie codziennie do Stołu Pańskiego przystępowali, aby tam nabrali sił do zwalczania pokus, by lekkie winy w tym Sakramencie obmywali i zabezpieczali się przed ciężkimi upadkami; nie chodzi zaś tu głównie o to, aby oddać Bogu cześć należną, ani też by Komunia św. miała być dla przyjmujących ją jakby nagrodą za ich cnoty. (Św. Augustyn, kazanie 57 o modlitwie Pańskiej w roz. V, 7 św. Mateusza). Z tego to powodu Święty Sobór Trydencki nazywa Eucharystyę *antidotum* (lekarstwo) ‚*które gładzi w nas codzienne winy i zabezpiecza od grzechów śmiertelnych* (Sesya 13, roz. 2).

Boska ta wola w przedziwny sposób była zrozumianą i podjętą przez pierwszych chrześcijan, którzy codziennie przystępowali do tego Stołu życia i siły. *I trwali w nauce Apostolskiej i w uczestnictwie łamania chleba.* (Dzieje Ap. II, 42). Że ta praktyka i w późniejszych wiekach utrzymała się w Kościele z niemałym pożytkiem dla wiary i społeczeństwa, wiemy o tem ze świadectw Ojców i pisarzy kościel-

nych. Lecz gdy z czasem pobożność stygnąć poczęła, a zwłaszcza gdy herezya Jansenistów wszędzie swój jad zapuściła, zaczęto dużo dysputować o usposobieniu potrzebnem do codziennego przyjmowania Komunii św. i coraz trudniejsze stawiano po temu warunki. Rozprawy te miały ten wynik, że bardzo małą liczbę chrześcijan osądzono za godnych przystępowania codziennie do Stołu Pańskiego i korzystania z tych arcyzbawiennych owoców, jakie ten Sakrament w sobie zawiera; zadowalano się przystępowaniem do Komunii św. raz na rok, lub raz na miesiąc, lub co najwyżej raz na tydzień. Niebawem doszli do takiego stopnia surowości, że zabraniano Komunii św. częstszej osobom całego stanu, naprzykład ludziom żyjącym w małżeństwie lub zajmującym się handlem.

Niektórzy doszli do drugiej ostateczności, mniemając, że Komunia św. codzienna jest prawem Bożem nakazana, stąd nie chcieli jednego nawet dnia być jej pozbawionymi i, między innemi, naruszali odwieczne zwyczaje Kościoła, dowodząc, że należy przyjmować Eucharystyę nawet w wielki piątek i takową rzeczywiście w dzień ten rozdawali.

Stolica Apostolska sprzeciwiała się zawsze tym obostrzeniom, albowiem dekretem św. Kongregacyi, zaczynającym się od słów *Cum ad aures* z dnia 12-go lutego 1679 r. błędy owe potępiła i napiętnowała nadużycia, orzekając równocześnie, aby żaden stan, nie wyłączając kupców i małżonków, nie miał utrudnionego przystępu do częstej Komunii św., stosownie do stanu ich sumienia i zdania kierownika duchowego. Zaś dekretem *Sanctissimus Dominus noster* papież Aleksander VIII potępił zdanie Bajusa, który jako warunek do przyjęcia Kom. św. wymagał najczystszej miłości bożej i duszy wolnej od jakiejbądź skazy grzechowej.



Nowy zakład św. Józefa w Lisbonie (*Zob. str.* 130).

Pomimo to jad wzmiankowanej herezyi nie zniknął, a spory o należyte usposobienie do godnego i prawego przystępowania do Komunii św. przeżyły wszelkie wyraźne deklaracye papieskie.

I dziś nawet niektórzy teologowie katoliccy,

dobrzy zresztą, pod pozorem oddania należnej czci Eucharystyi, rzadko tylko, i to pod uciążliwymi warunkami pozwalają wiernym na codzienną Komunię św. — Aby sporom tym kres położyć i nie niepokoić tak spowiedników, jak i wiernych, polecił Ojciec św. Kongregacyi Soboru, by nad sprawą codziennej Komunii św. się zastanowiła. Owocem tego badania są następujące postanowienia, zatwierdzone w całości przez Ojca św. Piusa X.:

1. Do częstej i codziennej Komunii św., jako bardzo przez Kościół zalecanej, każdy chrześcijanin, jakiegokolwiek stanu, może przystąpić; dlatego nikomu nie można zabronić przystępowania do Stołu Pańskiego, kto tylko to czyni w stanie łaski, z dobrem i pobożnem usposobieniem.

2. Dobre usposobienie jest wtedy, jeśli przystępujący do Stołu Pańskiego nie czyni tego z przyzwyczajenia tylko, albo z próżności, albo z ludzkich względów, lecz chce spodobać się przez to Bogu, połączyć się z nim tem ściślejszym węzłem miłości, i lekarstwem tem bożem zapobiedz swym chorobom i niedomaganiom.

3. Pomimo że bardzo korzystnem i pożądanem jest, aby często i codziennie się komunikujący wolni byli od grzechów powszednich, przynajmniej całkiem dobrowolnych, i od przywiązania do nich, to jednak do godnego przyjęcia Komunii św. wystarcza, aby nie mieli na sumieniu grzechu ciężkiego, z postanowieniem, że nigdy takiego grzechu nie popełnią; mając takie szczere postanowienie, przez codzienną Komunię św. powoli pozbędą się i grzechów lekkich, jak i przywiązania do nich.

4. Chociaż Sakramenta N. P. skutek powodują same przez się *(ex opere operato)*, większy jednak skutek sprawiają w tych, którzy przystępują do nich lepiej przygotowani, dlatego trzeba się usilnie starać, aby Komunię św. poprzedziło sumienne przygotowanie, a po niej nastąpiło podziękowanie odpowiednio do każdego sił, stanu i urzędu.

5. Aby częstą i codzienną Komunię św. z większą roztropnością przyjmować i z większą zasługą, trzeba co do niej zasięgnąć rady spowiednika. Spowiednicy jednak niech się strzegą odmawiać częstej i codziennej Komunii św. temu, kto w łasce i z dobrem usposobieniem chce do niej przystąpić.

6. Ponieważ jasną jest rzeczą, że przez częstą i codzienną Komunię św. zwiększa się łączność z Chrystusem, życie duchowne nowej nabiera siły, dusza bywa coraz więcej cnotami ozdobiona, przyjmujący Komunię św. dostaje zadatek wiecznej szczęśliwości, dlatego proboszczowie, spowiednicy i kaznodzieje, stosownie do zlecenia katechizmu rzymskiego (Pars II, c. 63), będą częstemi napomnieniami usilnie wierny lud zachęcać do tej tak zbożnej i zbawiennej praktyki duchowej.

7. Częstą i codzienną Komunię św., zwłaszcza w zakonach wszelkiego rodzaju, trzeba szerzyć; dla zakonów jednak pozostaje nietknięty dekret *Quemadmodum* z 17. grudnia 1890 r., wydany przez św. Kongregacyę Biskupów i Zakonników (1). Jak najusilniej trzeba tę praktykę szerzyć w seminaryach kleryków, jak niemniej we wszystkich chrześcijańskich zakładach wychowawczych.

8. Jeśli się gdzie znajdą zakłady czy to ze ślubami uroczystymi, czy zwykłymi, w których konstytucye i reguły nakazują Komunię św. w pewne dni, to normy te mają być uważane tylko za *wskazówki*, a nie za *nakazy (mere directivae normae non praeceptivae)*. Przepisana ilość Komunii ma być uważana jako *minimum* wymagane od zakonników. Dlatego częstsza, a nawet codzienna Komunia św., jest dozwolona według norm w tym oto dekrecie wyłuszczonych. Aby rozporządzenia tego dekretu wszyscy obojga płci członkowie zakonni znać mogli, kierownicy poszczególnych domów postarają się oto, aby te dekrety co roku w języku rodzimym, w Oktawie Bożego Ciała, wspólnie były odczytane.

9. W końcu św. Kongregacya postanawia, aby po ogłoszeniu tego dekretu wszyscy pisarze kościelni zaniechali wszelkich kłótliwych dysput co do dyspozycyi, potrzebnych do częstej i codziennej Komunii św.

(1) Treść dekretu *Quemadmodum* jest taka: Jak częstem ma być przyjmowanie Komunii św. (przez zakonników i zakonnice), zależy to wyłącznie od spowiednika, a nie od przełożonych zakonu, albo od przepisów reguły. Jeżeliby jednak zakonnik lub zakonnica dawali w zakonie zgorszenie, przełożeni mogą zabronić tymczasowo codziennej Komunii, dopóki spowiednik w tej sprawie ostatecznie nie zadecyduje.

***

Jeżeli wolno dzieciom szczycić się sławą Ojca, niech i nam będzie wolno wyrazić dziś naszą najżywszą pociechę, gdy widzimy najwyższą sankcyą zatwierdzone nauki i wskazówki, jakie w tym przedmiocie dawał nam ks. Bosko. Wiadomo, iż on częstą Komunię św. postawił za podwalinę całego swego systemu wychowawczego, głośny już dziś w świecie zwyczaj, przyjęty w jego zakładach, by wychowanków tłumnie przypuszczać codziennie do Stołu Pańskiego. A przecie żył wówczas, gdy taka praktyka nie tylko nie była ogólnie przyjętą, ale gdy ją wprost zwalczano jako błędną, gdy po seminaryach nawet kandydatom do stanu kapłańskiego nie wolno było jak tylko w niedziele i święta komunikować. Nie dbając atoli na sarkania i niechęci, szedł dalej drogą raz obraną: i dziś widzimy, że się nie mylił, że zdrowe i święte przekazał nam zasady. Stąd chluba i pociecha nasza. Słuszna tedy, aby *Wiadomości* rozniosły ten dokument pod najdalsze strzechy z tem błogiem przekonaniem, iż od jego wykonania datować będzie nowa era w dziejach żywej pobożności chrześcijańskiej, t. j. odrodzenie zobojętniałej tak bardzo za dni naszych wiary, i że zrodzi się pokolenie mężnych i niewzruszonych bojowników dobrej sprawy.

Kończymy kilku cennemi uwagami tegoż wielkiego promotora częstej Komunii św. ks. Bosko, napisanych przez niego dla młodzieży w *Młodzieńcu Zaopatrzonym:*

Może ktoś powie: „Za wielkim jestem grzesznikiem, by często komunikować.“ Jeśliś jest wielkim grzesznikem, postaraj się wrócić do łaski bożej przez spowiedź, a następnie przyjm Komunię św., a będziesz miał wielką pomoc. Kto inny znów powie: „Rzadko komunikuję, by mieć większą gorliwość.“ Jestto błąd. Rzeczy, które się rzadko czynią, po większej części źle wypadają. Zresztą, ponieważ masz wiele potrzeb, często powinieneś wzmacniać twoją duszę nową pomocą. — Jeszcze inni powiedzą: „Pełen jestem chorób duchownych i nie śmiem często komunikować.“ Na to Pan Jezus odpowiada: „Nie zdrowi, ale chorzy lekarza potrzebują. Przeto ci, którzy są najwięcej słabościom moralnym podlegli, częściej powinni być przez lekarza dusz nawiedzani: a tym jest właśnie Jezus Chrystus. On to często do nas przychodząc, udzieli nam łaski nie wpadania w grzechy ciężkie i zgładzi nasze winy powszednie. W rzeczy samej łatwo się można przekonać, że więcej są upadkom podległe osoby rzadko, niż często komunikujące. Odwagi zatem! Jeśli chcecie czyn najmilszy Bogu spełnić, pokusy zwyciężyć, w dobrem wytrwać, komunikujcie często i z dobrem przysposobieniem (1).

(1) Młodzieniec Zaopatrzony — książeczka modlitewna dla młodzieży, ułożona przez ks. Jana Bosko. — Oświęcim, 1905.



PIEŚŃ

do św. Stanisława, Biskupa i Patrona Polski.

(Można śpiewać na nutę: „Boże coś Polskę.“)

O Stanisławie! Biskupie, Patronie!
Spojrzyj z niebosów na kraj Twój rodzony,
Na Twoich ziomków w tej polskiej Koronie,
Co giną z nędzy bez żadnej obrony.
Ciebie prosimy my grzeszni ze łzami,
Patronie Polski, przyczyń się za nami!

Pomnij o święty Męczenniku wiary
Na ziemię Twoją krwią bratnią zbroczoną,
I na tę Polskę, co słała ofiary,
A dziś niestety! — jest wszędzie krzywdzoną.
Ciebie prosimy my grzeszni ze łzami,
Patronie Polski, przyczyń się za nami!

Racz nam wyjednać łaskę Pana Boga
W chwilach żałoby, smutku i boleści,
Które przechodzi Twa ojczyzna droga,
A która prosi ratunku! — litości!
Ciebie prosimy my grzeszni ze łzami,
Patronie Polski, przyczyń się za nami!

Tak, jak wskrzesiłeś Piotrowina z ziemi,
Wskrześ martwą Polskę, święty nasz Patronie!
Będziem Cię czcili siłami naszemi
Na wieki wieków w tej polskiej Koronie!
Ciebie prosimy my grzeszni ze łzami,
Patronie Polski, przyczyń się za nami!

J. M. Zimocki.

Sprawa katolicka w Polsce.

Co Francuz wymyśli, to Polak polubi — głosi nasze starodawne przysłowie. Historya rozwoju wszelkich idei jak i wszelkich zboczeń dowodzi tego faktu; a chociaż te idee i zboczenia dochodziły do nas o parę lat w spóźnieniu, jak przestarzałe mody, to jednak my zachwycaliśmy się niemi, zawsze powierzchownie i po dyletancku, odrzucając je następnie, po poniesionej szkodzie, skoro inne, względnie nowsze, z zachodu nadchodziły. — I dziś szalone głowy nie swojskie wymyśliły jakieś ateizmy, liberalizmy, socyalizmy i wiele innych podobnych chorobliwych mrzonek, a my chwytamy je w lot i bawimy się niemi jako nowinkami. Nie pamięta może ten i ów, jak srodze dały się swego czasu we znaki naszym ojcom takież *nowinki* protestanckie, podkopujące, jak dzisiejsze, powagę Kościoła i religii: im to, bo rozdwojeniu przez nie wywołanemu, przypisać w znacznej mierze należy upadek kwitnącej rzeczypospolitej. Czy się one i nam nie mogą podobnie odpłacić? Wszytko dziś wskazuje że tak, i chyba bardzo ograniczony dziś nie widzi i nie czuje, jak pod skorupą pozornego pokoju wszystko wre i kipi od namiętności nie znających hamulca po wyrugowaniu etyki katolickiej. Wybuch wulkanu groźniejszego stokroć od Wezuwiusza, wisi nam nad karkiem; a cóż po nim zostanie? Chyba srogie rozczarowanie, jęki i żale: ale po niewczasie.

Widzi to już dziś niemal każdy, nie każdemu atoli danem jest wniknąć tak w istotę rzeczy, aby podać i środki zaradcze przeciw takiemu zboczeniu. Zabrało tedy w tym względzie głos kilku z naszych mężów, miłośników swego narodu, którzy zdając sobie dokładnie sprawę z krytyczności położenia, podali w mądrych i praktycznych radach antydoty na takie zło społeczne. Skreślili dość jaskrawy i zastraszający obraz naszej nędzy duchowej, zwłaszcza gdzie piętnowali brak religijności i walkę przeciw niej. A zaznaczyć wypada, na naszą chlubę i pociechę, iż wśród tych mówców szereguje się kwiat naszej prawdziwej inteligencyi duchowej i życiowej, tej inteligencyi nie z rodu i imienia, ale ze zgłębionej nauki.

Główne zło, na które utyskują prawie wszyscy, jest zawierucha wszczęta przez tak zwanych socyał-demokratów. Cele do jakich ci ludzie dążą, są już zbyt jawne, i nie trzeba się tutaj nad ich szkodliwością długo rozwodzić. Bo że przykre jest położenie klasy pracującej, nie tylko robotników, ale i rolników, rzemieślników i wszystkich zarabiających pracą swoich rąk na chleb codzienny, jest zbyt widoczne. Ale czyż teorya socyalistyczna, głosząca równość i braterstwo, jakieby zawitało na świecie po podziale dóbr wydartych zamożniejszym, jest w stanie uleczyć, mimo tylu obietnic, nędzę społeczną? Na to sami dziś socyaliści odpowiadają,

że jestto obmyślone na to, aby ułowić w swe sidła jak najwięcej zwolenników, którymby potem można narzucić swoją wolę i użyć ich za ślepe, choć może bezwiedne narzędzia, we walce z porządkiem społecznym, z prawem tak boskiem jak ludzkiem, hamującem zapędy egoizmu i namiętności. — A czyż więc niema lekarstwa na zło tak widoczne i tak dokuczliwe? Jest — i to bliżej i łatwiej do osiągnięcia, niżby kto pomyślał. Oto co mówi np. ks. Arcybiskup Bilczewski:

,,A więc jest zło w naszem życiu społecznem? Jest, i wielkie i dokuczliwe. A gdzież jego źródło? Nie w majętnej szlachcie, nie w kapitalistach wyłącznie, ale oto: Samolubstwo, rozbujałe aż do egoizmu, jest tym zarazkiem, który znieprawił myślenie i wolę społeczeństwa i sprowadził rozstrój dzisiejszy w rodzinach, szkolnictwie i stosunkach zarobkowych.“

Cała dzisiejsza *kwestya społeczna* da się przyrównać do waśni dwu rolników o granicę: obaj krzyczą, hałasują pod niebiosy, a żaden niema dokładnego pojęcia o tem co mu się właściwie należy. Uspokójcie ich, dajcie im rozjemcę, któryby bezstronnie każdemu wykazał jego błąd, a zwaśnieni powrócą do dawnej zgody i przyjaźni. — Dziś cała chmara wydziedziczonych i upośledzonych przez ślepą i zmienną fortunę podnosi się z gwałtem przeciw posiadającym, jakoby to właśnie posiadanie było zbrodnią, a ci z swej strony rzucają ze swych wyżyn finansowych pioruny na hałaśliwy proletaryat. Spór zaognił się, bo żadna ze stron interesowanych nie poznała dokładnie swych praw i obowiązków. Któż tedy stanie rozjemcą pomiędzy nimi? Któż rozwikła tę straszną gmatwaninę, za jaką uchodzi paląca kwestya społeczna? — Biedna ludzkość, jaka ona nieraz naiwna! Ludziom XX-go wieku, ludziom oświeconym, zdaje się, iż wynaleźli dla siebie nowe jakieś potrzeby, których sobie nikt przed nimi nawet wyobrazić nie umiał: i to podnieca niejednemu dumę, bodaj niewczesną. Tymczasem tasama kwestya społeczna została rozwiązana już 2000 lat temu tam na górze, gdzie z Boskich ust Zbawcy narodów wyszło ośmioro błogosławieństw: tam rozwiązano trafnie, bo z pełną świadomością wszystkie zagadnienia i postulaty spokoju i zgody między klasami.



Lisbona. — Zakład św. Józefa *(Kaplica prowizoryczna).*

„Błogosławieni ubodzy duchem; błogosławieni sprawiedliwi, błogosławieni miłosierni, albowiem oni Boga oglądać będą.“ Postawmy Chrystusa z Jego błogosławieństwy i całym systemem jego boskich nauk jako rozjemcę, albo raczej przywróćmy mu dawne stanowisko w sprawach wspólnych ludzkości, a *odnowi się oblicze ziemi i pokój będzie w ziemi naszej.*

Ubóstwo bowiem każe ograniczać swe potrzeby i nie pomnażać ich nad własny stan i możność zarobkowania; miłosierdzie uczy bogatszych jak pozbywać się rzeczy zbytecznych, by nieść ulgę potrzebującym, a sprawiedliwość uśmierzy wszelkie zatargi, jakieby czasem powstały z zaniedbania którego z tych przepisów, będących samą istotą nauki Chrystusowej. — Tak tedy mówi dalej czcigodny metropolita: „Na ten rozbujały egoizm istnieje tylko jedno radykalne lekarstwo: szczepienie wielkiej, czynnej, ofiarnej miłości bliźniego.“ Lecz zdolna ją rozniecić tylko religia chrześcijańska, bo w niej jednej mieści się całe morze światła, wzór najofiarniejszej miłości Boga i bliźniego, najdoskonalsze pobudki do poświęcenia się za drugich, a zarazem najskuteczniejsza pomoc dla człowieka, aby chciał i umiał się krzątać w mnożeniu bogactw, i ograniczać się w zarobkowaniu przez wzgląd na dobro drugich ludzi.“

Gdzie się takie zasady głoszą, każdy już chyba wie: nie przy pełnych kielichach i dymiącej czuprynie, nie wśród krzyków i gróźb na kogokolwiek, ale w obliczu ukrzyżowanego z miłości Zbawiciela, w kościele z ambony. Tam, bracie, usłyszysz może nie pochlebstwa, nie ujrzysz naraz przed sobą złotych gór, nie będą cię tam usprawiedliwiać, ale z otwartą i ciętą prawdą usłyszysz wskazówki pewne do szczęścia i rzetelnego dobrobytu.



Misyonarze wygnańcy.

Obrazek z czasów prześladowania zgromadzeń zakonnych w rzeczypospolitej ekwatorskiej.

(Ciąg dalszy) (*).

Nie upłynął tydzień, gdy przed zakładem zatrzymał się oddział policyantów. Na dany znak poobsadzali wszystkie bramy i wyjścia, a naczelnik z kilkoma ajentami wszedł butnie do wnętrza i zażądał widzieć się natychmiast z kierownikiem. Dyrektor zajęty był spowiedzią chłopców; gdy mu dano znać o zajściu, opuścił natychmiast konfesyonał i poszedł wprost do rozmownicy. Ledwie go ujrzał kapitan, jął zaraz wywodzić urzędowym tonem, iż przyszedł dla perkwizycyi domu, w którym, wedle doniesień, przechowywano pokryjomu zapasy broni.

— Ależ proszę pan kapitana — tłumaczy się ks. Calcagno, po co tu u nas broń?

— My jej nawet używać nie umiemy.

— W to ja nie wchodzę; proszę mi tylko wydać wszystko po dobremu, inaczej będziecie Ojcowie narażeni na nieprzyjemności.

— Najchętniej byśmy służyli, ale proszę się przekonać, że u nas nic zakazanego niema.

— W takim razie niech nas ks. Dyrektor oprowadza po domu.

Poszli najpierw do warsztatu ślusarskiego i do przyległego składu żelaznych rupieci. Nie było nic, prócz dwu rur muszkietowych, które parę dni temu przynieśli byli do reparacyi żołnierze z partyi Alfaro. Natychmiast je zasekwestrowano.

Po kilku innych bezowocnych przeszukiwaniach kapitan zażądał zaglądnąć do pak, jakie poprzedniego dopiero dnia złożono na

(*) Zob. str. 60 i nast.

podwórzu, a o których policya doskonale wiedziała.

— Bardzo proszę — rzecze dyrektor — ot tam jeszcze wszystkie nietknięte: leżą jak je przywieziono.

— Czy ich czasem nie zmieniono z innemi?

— Można się przekonać po pieczęciach i reskontrując aviza. Pozwolę sobie tylko prosić, by się z tem nieco oględnie obchodzić, inaczejby się mogły potłuc.

— Co takiego?

— Ich zawartość.

— A mianowicie?

— Są tam sprowadzone umyślnie platy fajansowe dla naszej odlewarni czcionek, i szkła stołowe.

— Piękna wymówka, ale za naiwna — pomyślał komisarz. — Już może w duszy widział przed sobą świetny awans za tak ważne odkrycie, bo się uśmiechnął nieznacznie, a stanąwszy przy pakach, skinął na ajentów i rzekł: „Do dzieła — tylko ostrożnie!" Pokręcił bujnego wąsa i patrzał.

Tamci skoczyli po potrzebne narzędzia i rączo wzięli się do pracy, tak nawet rączo, że dyrektor kilkakrotnie musiał prosić o ostrożność, by nie wyrządzili szkody, którejby nikt na pewno nie chciał zapłacić. Odbito pierwszą skrzynię i wydobywają. Dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści; pierwszy rząd, drugi, trzeci: same platy. „No, ale dno jeszcze daleko" cieszył się zapewne kapitan; wybierają dalej, ale ani myśleć o czemś innem. Nic to; wybrano wszystkie. Zniecierpliwiony każe zaraz brać się do drugiej; sam odbija trzecią. Tymczasem zeszli na rekreacyę wychowankowie. Nowość ściągnęła ich zaraz dokoła policyantów, i szeptami roznieśli pomiędzy sobą wieść o tem, co sprowadziło tych zbrojnych ludzi na ich dziedziniec. Niemałą niespodzianką był zapewne dla nich ten zbrojny kapitan, klęczący w pylę obok paki; a gdy nie widząc nic prócz fajansówek, zaczął burczeć pod nosem, niejedna twarz skrzywiła się śmiechem, który byłby niechybnie wybuchnął głośnym chórem, gdyby nie znaczące spojrzenia ze strony nauczycieli, którzy bali się jątrzyć jeszcze więcej tych dzikich ludzi, i tak już niemało zgniewanych nieudanym zamiarem.

Resztę pak zostawili w spokoju, gdyż i obcych zaczęło napływać do zakładu, jak zwykle do pracy, a wstyd było wobec tylu odejść z kwitkiem. Wstał tedy komisarz, zwołał swoją



Lisbona. — Zakład św. Józefa *(Szkoła muzyki).*

sforę i zabierał się do odejścia, odgrażając się przy pożegnaniu, że powróci, ale już nie po wstyd, lecz jako wykonawca wyższych rozkazów.

W tej chwili sam może dobrze nie pojmował znaczenia swych słów, lub co najmniej wypowiedział je bez głębszego zastanowienia, dość że powrócił, jak to się zaraz pokaże.

Ostatnia ta rewizya, po tylu i tak jasnych zapewnieniach gen. Alfaro, musiała być uważana za wypowiedzenie wojny. Nasi atoli wciąż się łudzili swą niewinnością, i spokojni o jutro, nie tracili nic ze zwykłego spokoju, lub co najmniej nie tracił go tryb regularnego życia. Aż gwałt przerwał spokojną nić tej złotej przędzy.

Rozdział VI.

Pamiętna noc. — Laetantes imus. — Na policyi.

Słońce skryło się nareszcie za górami. Jeszcze ostatni jego promień igrał na śnieżystych szczytach gór, jeszcze ognista grzywa dalekiego Chimborazo mieniła się grą słoneczną, gdy noc ciemna i gruba zaległa okolicę. Księżyc zajaśniał pełnym blaskiem już niemalw połowie swej wędrówki, tysiące gwiazd migotały na jasnem tle firmamentu, a ciemnoszary cień pokrył pagórki i wądoły. Stało się to tak nagle, tak bez przygotowania, że każdy nieobeznany z tem zjawiskiem Europejczyk instynktownie zapyta: co to jest? — Otóż jest to zwykłe zjawisko podzwrotnikowe, gdzie noc następuje po pełnym dniu bez żadnych skal, bez stopniowego zciemniania się, bez wieczora. Nie zważali też na to zjawisko mieszkańcy stolicy Ekwatoru, ale co żyło wylegało na ulice i błonia, aby się odświeżyć i ucieszyć miłą przechadzką. Czas był cudny; od strony riwiery wiał przyjemny bardzo powiew, chłodny, przesycony słoną wilgocią. Rojno też było na miejskich plantacyach, huczno i świetlisto na ulicach, jakoby kraj był najspokojniejszy, gdy tymczasem pożar wojny domowej coraz nowe zajmował okolice, a na zgliszczach kwitnących osad ludzkich psy wyły z litości za swymi panami. Tutaj atoli cieszono się: byli to zausznicy gen. Alfaro, którym nie groziło żadne niebezpieczeństwo.



Lisbona. — Zwiedzanie zakładu przez lud.

Wybiła godzina jedenasta, a nikt nie myślał o pójściu do domu. Zwolna jednak to jedna to druga ulica zapadała w ciemności, tłum zmniejszał się z każdą chwilą, aż w końcu samotne kroki stróżów przerywały ciszę nocną. Lecz nie wszystko jeszcze spało. Na drugiem piętrze gmachu ratuszowego paliły się wciąż jeszcze światła: znak, iż prezydent Alfaro czuwał i był zajęty. Siedział on przy swojem biurku, pochylony nad jakimiś aktami; długo rozważał, aż w końcu przyłożył swój podpis, wstał i zadzwonił. Zapukano do drzwi i wszedł ordynans.

— Do usług Waszej Ekscelencyi.

— Wydane moje rozkazy; czy gotów Ojeda?

— Tak jest.

— A więc o godzinie 11 ½ odstawić ich do gmachu policyi i zatrzymać do nowych rozporządzeń. A obejść się tam bez hałasu i awantur!

— Wedle rozkazu.

Przeszedł się jeszcze kilkakrotnie tam i napowrót po izbie, poczem wdział palto, nasunął czapkę na chmurne czoło i wyszedł, by pójść na spoczynek.

Na przeciwległym krańcu miasta, w dzielnicyfabrycznej i przemysłowej, u stóp góry Pichincha, w uroczem położeniu wznosił się zakład salezyański, znane nam już Protektorado. Stanęły maszyny, ucichły wesołe gwary chłopców, a spokój błogi, dobrze zasłużony, zapanował w olbrzymim gmachu. Dyrektor z kilkoma współbraćmi stał jeszcze na balkoniku, wydając rozkazy na dzień następny, naznaczony na wycieczkę nad morze. Pod urokiem cichej nocy, jak i świetnego widoku jaki się przed nimi roztaczał, gawędzili serdecznie. Od czasu do czasu oczy ich padały na oświecony srebrnem światłem szczyt Pichincha, gdzie majestatycznie choć smutnie rysowały się potężne ruiny dawnej świątyni słońca, i może niejeden pomyślał: *sic transit gloria mundi*, gdy wtem dały się słyszeć miarowe kroki, potem cichy rozkaz: stój, i nagle zadzwoniono u bramy zakładu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MISYE SALEZYAŃSKIE

Z INDYI.

(Dokończenie relacyi ks. Jerzego Tomatis, przełożonego nowej misyi w Tanjore, w południowym Dekanie.

U celu. — Przyjęcia. — Radość mieszkańców ochronki. — Do dzieła.

Tanjore, South-India, 15-go stycznia 1906.

Nareszcie mogliśmy powitać nasze upragnione Tanjore (*)! Deo gratias! Była godzina siódma wieczorem, gdy pociąg z hukiem i świstem stanął na stacyi. Głośne hura, w którem cichły dźwięki kapeli, ozwało się z tysiąca piersi. Zdziwieni wyglądamy przez okno: cały plac dworcowy szczelnie zatłoczony ludem, a na przedzie w galowych mundurach różnego stopnia urzędnicy państwowi. Czy to dla nas? — pytamy się wzajemnie. Wtem otwierają się drzwiczki wagonu i z otwartemi ramiony staje w nich znany nam ks. Coelho, proboszcz miejscowy. Po czułych uściskach wyprowadził nas na peron, i tu nastąpiły liczne przedstawienia zebranym władzom. Wyrazy życzliwości sypały się zewsząd, a tłum tymczasem bił z zapałem w ręce, krzyczał i pchał się do nas, by ucałować nam ręce lub co najmniej skrawek sukni. Ścisk stał się wielki i nikt nie byłby ruszył z miejsca, gdyby nie pluton wojska, sprowadzony dla większej uroczystości, który na dany znak utworzył szpaler aż do karet. W pierwszy elegancki lando wsiadłem ja z ks. proboszczem i ks. Biebuyk; inni współbracia pozajmowali następne. Kapela zagrała marsza, w której takt jęły się poruszać zwolna cztery ogniste ogiery, zaprzężone do naszego powozu. Na koźle służba w liberyach, z przodu i z boku po czterech trabantów konno, na całej zaś drodze zbite masy tłumów wznoszących owacye i klękających, gdyśmy obok nich przejeżdżali.

Takiego przyjęcia naprawdę się nie spodziewałem. Tosamo czekało nas w mieście. Zamiast udać się wprost do przeznaczonej nam ochronki, chciał mi ks. Proboszcz pokazać miasto bogato illuminowane. Trzeba się było koniecznie na to zgodzić. Pod ciągłą powodzią kwiatów, wśród dźwięków kapeli, bicia dzwonów, grzmiących rozgłośnie w ciszy wieczornej, jeździli biedni synowie ks. Bosko w luksusowych powozach po tych strojnych ulicach, witani wszędzie hucznemi: *Niech żyją!*"

Zajechano wreszcie przed budynek dla nas przeznaczony. Nim zdołałem ochłonąć, zaczęło się przyjęcie i wprowadzenie urzędowe; wręczono mi akt cesyi gmachu, poczem weszliśmy do obszernej sali, zamienionej w bogatą aulę dla wieczorku. Kilka pająków elektrycznych rzucało jaskrawe światło na ozdoby, gdzie festonom, flagom i napisom nie było końca. Zmuszono mię zająć honorowe miejsce na troniku pod adamaszkowem nakryciem, skąd ujrzałem zwrócone na siebie tysiące ciekawych oczu. Wszędzie czytałem przychylność; pomimo to zadrżałem z obawy, czy zdołam odpowiedzieć oczekiwaniom tego ludu? — Lecz w tej chwili wzrok mój padł również na statuę Matki naszej Wspomożycielki, która z morza światła uśmiechała się łaskawie, jakby mówiła: Oto jestem, nie bójcie się! Wypogodziło się me czoło, bo zresztą nie było czasu na czarne mysli. Skoro bowiem przycichły nieco głośne krzyki i rozchowory ludu, zanucono czterogłosowy hymn, ułożony na tę okoliczność w miejscowem narzeczu, poczem odczytano kilka mów. Dwu przytulonych chłopców wygłosiło również adresy w języku angielskim, na co ja w końcu odpowiedziałem krótko, bo mi wzruszenie odebrało wszelką zdolność sklejenia dwu nyśli. Mówiłem po francusku, czego wielu wcale nie rozumiało. Dopiero gdy wstał ks. Proboszcz i wyłożył moje słowa, burza oklasków przeszła po całej przestrzeni zajętej przez tłum, i huczne wiwaty na cześć naszą, ks. biskupa i miejscowego pasterza pobiegły aż na ostatnie krańce miasta. Zakończyła wszystko rzewna modlitwa przed

(*) Mów: Tanzior.

statuą Maryi Wspomożycielki, poczem rozochocony lud rozszedł się do domów.

Wszyscy bez wyjątku katolicy, (jest ich około 12000) wzięli udział w uroczystości. Lud to bardzo pobożny i gorąco do swej religii przywiązany. Codziennie zbierają się tłumnie na Mszę św., której słuchają prawie wyłącznie na klęczkach.

Obok nich atoli żyje w temsamem mieście przeszło 60,000 pogan, nie dających się dotąd pozyskać dla prawdziwej wiary, a służących swym dawnym gusłom i bożkom. Co krok napotykają się inne ślady niewygasłego dotychczas bałwochwalstwa: to świetne pagody, to nędzne lepianki, otwarte na wszystkie wiatry, to znowu ruiny starych mieszkań bogów. Najciekawsze jednak są pewne miejsca, zwłaszcza gąszcze, gdzie widać całe regimenty wszelakich bóstw, począwszy od postaci ludzkich, odstraszająco niezgrabnych, aż do koni, kotów, kóz, żab, itp. Kult ich to pierwotny, ale brzydki i poniżający.



Tanjore (Indye Angielskie). — Pierwsi wychowankowie XX. Salezyanów.

Europejczyków liczą tu na parę tysięcy. Samo miasto położone w cudnej okolicy. Powietrze jest lekkie, klimat zaś, pomimo dokuczliwego gorąca, zdrowy. Jak dotąd wiedzie nam się wyśmienicie. Rozlokowaliśmy się w naszem mieszkaniu i urządziliśmy w jednym z saloników ołtarzyk, gdzie zbieramy się dla odprawiania naszych praktyk zakonnych; na mszę św. chodzimy do kościoła farnego. Chłopców zastaliśmy przyjętych tylko sześciu; zato mamy już całe stosy listów z prośbami o przyjęcie, prócz tych, którzy się ustnie zgłosili u ks. proboszcza. Przyjmować będziemy, póki starczy miejsca.

Zaczęliśmy tedy naszą misyę nadzwyczaj świetnie. Nie łudzi nas bynajmniej wspaniałe przyjęcie: nie stanowi to bowiem dla nas żadnego jeszcze świadectwa, ale chyba zastraszyć nas powinno, czy zdołamy odpowiedzieć godnie nadziejom, jakie tutejsi dobrodzieje w nas pokładają. Dopiero jeżeli po paruletniej pracy wśród tej ludności napotkamy na takież uznanie, wtedy naprawdę będzie się można czemś poszczycić.

O to módl się, drogi Ojcze, i każ się modlić; zachętą zaś tem większą dla nas niech będzie Twoje ojcowskie błogosławieństwo, o które śmie prosić w imieniu swojem i współbraci.

Tobie zupełnie oddany w Chrystusie syn

Ks. Jerzy Tomatis.

***

Pod datą 6-go lutego donosi tenże ks. Tomatis o pierwszej konferencyi dla salezyańskich Pomocników, zebranych wśród tubylczej ludności.

Korzystając z entuzyazmu, jaki wywołało przybycie Salezyanów, zajął się bezzwłocznie szerzeniem *Związku Pomocników,* do którego owi mieszkańcy również mogli być przyjęci na regularnych członków. Poprosił w tym celu ks. Proboszcza, aby z ambony jakie słówko o tem powiedział. Chętnie przychylił się do

jego prośby gorliwy pasterz: *mówił o ks. Bosko, o Salezyanach, o celu Związku Pomocników,* a w końcu zaprosił wszystkich, pragnących dać swoje imię do tego stowarzyszenia, na osobną konferencyę. Zebrało się liczne grono osób ciekawych, którym tenże ks. Coelho wygłosił mowę o obowiązku pracowania dla dobra duchowego bliźnich, zwłaszcza w takiem mieście jak Tanjore, gdzie tak pokaźna liczba bałwochwalców dotąd się utrzymała; potem mówił o szczególnej misyi synów ks. Bosko, a wreszcie zaprosił obecnych do wpisu. Na razie podało swe imiona 40 osób, samych mężczyzn z kasty szlacheckiej, gdyż *parias,* jak również niewiasty są tu z góry wykluczone ze wszystkich towarzystw. — Ta garstka będzie zawiązkiem licznej rodziny, powołanej do czynnego i daj Boże skutecznego apostolatu w tych krajach.

Dalej pisze ks. Tomatis we wzmiankowanej korespondencyi:

„Na razie cały czas pochłania nam nauka języka miejscowego; ponadto objęliśmy kierownictwo szkoły parafialnej, do której uczęszcza przeszło 130 dzieci, z tych 35 jest poganami. Udziela się każdodziennie godzinę katechizmu, a po ukończeniu lekcyi wieczornych wszyscy wspólnie idą do kościoła na błogosławieństwo. — Nasza ochronka liczy już 30 internów; skoro zdołamy powiększyć lokale, liczba ich wzrośnie natychmiast. Mój Boże, jaka tu potrzeba podobnych zakładów! Codzień otrzymuję kilka próśb, a każda opisuje stan rekomandowanego godny łez i współczucia. Wogóle lud tutejszy jest bardzo biedny. Grunta, uprawne prawie wyłącznie pod ryż, są suche; jeżeli zatem P. Bóg którego roku nie da obfitych deszczów, panuje głód i nędza. Ochronka jest tu niezbędną.

Zainicyowaliśmy także pewien rodzaj patronażu. Co niedziela zbierają się na naszym dziedzińcu wszyscy uczniowie szkoły; rano prowadzimy ich na mszę św. do kościoła parafialnego, potem następują zabawy i nauka religii, a wieczorem kończy się wszystko udzieleniem błogosławieństwa Przen. Sakramentem.

...Mamy już nawet nasze pracownie. Od trzech dni głuszy nas stuk młota, a szewc zrobił już parę pantofli!”



Tanjore (Indye Angielskie). — Uczniowie szkoły parafialnej.

PATAGONIA POŁUDNIOWA.

Wycieczka na wyspę wielką Ziemi Ognistej.

(List br. Piotra Rossi).

Dawson (Cieśnina Magellana).

Przewielebny i drogi Ojcze!

W drugiej połowie sierpnia ubiegłego roku wyprawiłem się w towarzystwie mego kolegi Faustyna Minicci, pod przewodnictwem

kilku nowoochrzczonych, do Ziemi Ognistej w celu wyszukania Indyan. Cała wyprawa, która się odbyła na naszym statku misyjnym, trwała dni dwanaście.

Pierwsi Indyanie. — Brak żywności. — Dziwny połów ryb.

W pierwszy dzień wyprawy wiodło nam się wyśmienicie. Lekki wietrzyk nadymał nasze żagle i spokojnie przepłynęliśmy cieśninę. Trzymając się ciągle brzegu, ujrzeliśmy naraz wzbijający się w oddali słup dymu. Przekonani, że natrafimy tam na istoty ludzkie, przybijamy do lądu. Niedługo przyszło nam błądzić, i tak zaraz pierwszego wieczora pozyskaliśmy dla misyi rodzinę tubylczą, t. j. parę małżonków z kilkumiesięczną dzieciną. Bez wahania przystali oboje do nas i udali się najpierw z nami na statek, a potem przyobiecali przybyć z innymi znajomymi do misyi.

Pragnąc spędzić noc na lądzie, zaciągnęliśmy okręcik do bezpiecznej przystani; z żagli wnet stanął wygodny szałas. Po skromnej kolacyi pokładliśmy się przy dogorywających ogniskach i wnet sen spokojny objął nasze członki.

Nazajutrz, wywczasowani, puściliśmy się dalej w głąb kraju; towarzyszył mi stary Elizeusz i nasz Krzysztof. Zrazu na przestrzeni kilku kilometrów nie było nic, jak puste *toldos* po Indyanach, którzy gdzieindziej się przenieśli. Było już dobrze z południa, gdy Elizeusz spostrzegł w sinej dali coś poruszającego się. Ja wysilałem wzrok, nic jednak dojrzeć nie mogłem; taksamo i inni; ale że nasz przewodnik znany był z bystrego wzroku, uwierzyłem mu i poszliśmy w kierunku wskazanym. I nie mylił się stary, bo po kilku kilometrach natrafiliśmy na drugą samotną rodzinę, zajętą stawianiem sobie chaty. Poznałem ich na pierwszy rzut oka: Zeszłego roku należeli do misyi, ale pewnej nocy dali drapaka, przekładając to życie koczownicze, do jakiego od dzieciństwa przywykli, nad spokojne i pracowite w misyi. Nie okazali chęci powrócenia, zato naprzykrzali się o żywość. Wskazałem im kierunek ku naszemu małemu obozowisku, gdzie ich uraczono obficie, przyjmując w zamian kilka skór guanaka. Gdyśmy późnym wieczorem stanęli ponownie wśród swoich, niemało nas ucieszyła piękna grota, jaką ze znalezionych przypadkowo desek zaimprowizował nasz Minicci. Zawiesiliśmy w niej obraz Boskiego Serca. Słusznie należy się tej Skarbnicy miłosierdzia bodaj taka skromna przysługa za tyle obfitych łask, jakie od paru lat zlewa na te krainy lodu i nędzy.

Na odjezdnem zaprosiliśmy Indyan, by poszli z nami; lecz nie zdołałem ich do tego nakłonić. Jeden po drugim zaczęli się wymawiać: ten jeszcze nie skończył swej kanoy, tamten zostawił krewnych w lesie, inny zaś, który nie mógł prędko znaleźć wymówki, obiecał, iż przybędzie za kilka tygodni.

Pożegnawszy się z nimi, pojechaliśmy dalej w kierunku *Mirantasco*, a potem coraz dalej, gdzieśmy tylko przypuszczali, że mogą istnieć kryjówki ludzkie. W jaki tydzień po wyjeździe, ponieważ nie żałowaliśmy naszych zapasów żywności nawet takim, którzy nas potem opuszczali, ujrzeliśmy dna naszych koszów i pak. Upolowaliśmy wprawdzie trzy guanaki, lecz ostatecznie głód zaczął nam na seryo dokuczać. Od najbliższej *estancia* dzieliła nas przestrzeń może 90-ciu kilometrów, a wiadomo, iż w Ziemi Ognistej kolei żelaznych niema. Nie traciliśmy przez to bynajmniej na humorze, a nawet wesołość nie schodziła z naszego oblicza. Podeszliśmy raz co prawda dwa wilki morskie, lecz strzał chybił, a zwierzęta spłoszone znikły pod wodą. W ostateczności poleciliśmy się boskiej Opatrzności, i po krótkiej modlitwie zarzuciliśmy sieć. Nie upłynęło pięciu minut, a taka ilość ryb ją zapełniła, iż trzeba było użyć wielkiej siły i większej jeszcze ostrożności, żeby ją wyciągnąć na brzeg całą. Znalazło się 120 dużych ryb, ważących każda blizko dwa funty: byliśmy więc zabezpieczeni od głodu na wszystkie cztery dni naszej dalszej podróży. Zarzuciliśmy natychmiast sieć po raz drugi, lecz całkiem napróżno. Opatrzność już dała nam była czego koniecznie potrzebowaliśmy — i nic więcej nie dało się ułowić.

Straszna burza. — Na wezwanie „Maryo, Wspomożenie Wiernych,“ uspokajają się bałwany. — Powrót.

Niemało pocieszeni takim połowem, który mieliśmy wszelką słuszność uważać za cudowny, odbiliśmy ponownie od brzegu, by dostać się do kanału św. Gabryela. Upłynęliśmy jakie dziesięć kilometrów, gdy nagle zerwała się nawałnica, jakiej dotąd nie widziałem. Tylko kto tego doświadczył, jest w stanie wyobrazić sobie, jak straszne burze wzniecają w okamgnieniu niestałe bardzo wiatry Arcypelagu Ziemi Ognistej. Świeża tu jeszcze pamięć o parowcu *Ventura,* który zaskoczony przez taką zawieruchę, musiał się cofnąć do zatoki *S. Valentino;* drugi okręt *Magellanes* zaledwie w pięciu dniach przebył drogę, z którą w normalnych stosunkach mógł się uporać w ciągu kilku godzin. Widziałem i przeżyłem już i ja inne burze, jak np. gdym jechał pierwszy raz do tych krajów, lub między wyspami Falklandzkiemi i Puntarenas, ale coś podobnego nigdy mi się nie przytrafiło. Olbrzymie bałwany wznosiły się raz po raz na parę metrów ponad statek, wyjąc i rycząc okropnie. Była zaledwie jedenasta godzina, a takie ciemności zapanowały, że o metr nie dojrzałeś towarzysza. Przestrach, zwłaszcza między Indyanami, był nie do opisania. Pewna niewiasta, owinięta w nędzną skórę guanaka, z dzieciną na plecach, spoglądała co chwila na wściekłe bałwany i rzewnie płakała. Rozejrzałem się po moich towarzyszach: było nas wszystkiego jedenaście osób na statku. Ten drżał z przestrachu, inni spoglądali na siebie przerażeni. Po ludzku sądząc, zdawało się, że wybiła już ostatnia nasza godzina.

Kazałem wszystkim odmówić serdecznie akt skruchy, poczem poleciłem siebie i drugich Naszej Niebieskiej Matce. Następnie wyjąłem koronkę i wspólnie odmawialiśmy różaniec. — Tymczasem stary Elizeusz przypomniał sobie swoje dawne zwyczaje pogańskie: jął krzyczeć, wymawiać jakieś dzikie wyrazy, machać rękami, grozić komuś z takim komizmem, żem w tej tak strasznej chwili omal nie wybuchnął śmiechem. Zgniewany w końcu zgromiłem go ostro, na co on jednak nie zważał. Odmówiliśmy następnie litanię do Najśw. Panny, i dziwna rzecz: wiatr, który każdej chwili zdawał się wzmagać, na wezwanie: „*Wspomożenia Wiernych*“ całkiem nagle ustał; po chwili fale jęły się stopniowo uspokajać, i po trzech godzinach śpiewaliśmy już hymny dziękczynne do naszej opiekuńczej Gwiazdy Morza za tak niespodziewane ocalenie.



Tanjore (Indye Angielskie). — Misyonarze i katechiści.

Z końcem dnia następnego, gdy ostatnie echa dzwonu wieczornego łamały się o gęste konary lasów, byliśmy wśród swoich. Czekała nas tam miła niespodzianka, mianowicie śliczna Encyklika Ojca św. o nauce katechizmu. Naprawdę, że jakieś niewytłumaczone uczucie ogarnia człowieka, gdy na takie pustkowie jak nasza misya, oddalona setki mil od wszelkich środowisk cywilizacyi, dojdzie głos tak miłej i poważnej istoty. Jest on jakby echem tego życia pełnego trosk i walk, ale zarazem wypełnionego tylu niebiańskiemi chwilami, jakich udziela miłość braci i pokrewieństwa. Bądź pewien, drogi Ojcze, że nawet tutaj Papież

znajdzie synów posłusznych, którzy ze wszystkich sił, póki im tchu w piersiach, póki kości ich nie spoczną na tych niegościnnych stepach, pomagać Mu będą we wzniosłem przedsięwzięciu: *Instaurare omnia in Christo.*

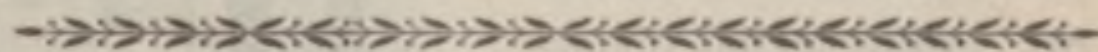
Z innych krajów.

Chiny. — Podróż Misyonarzy do portu *Macao* w Chinach była nadspodziewanie szczęśliwa: morze spokojne, na zdrowiu nikt nie zaszwankował. Nawet z powodu nieznajomości języka nie mieli żadnych kłopotów, gdyż na każdym prawie przystanku znajdywali zaraz niby przypadkiem kogoś, co im służył za tłumacza i Cycerona. Zgotowano im i tam przyjęcie serdeczne i wspaniałe. Zakonnicy różnych zgromadzeń wydzierali sobie naszych współbraci przez kilka dni jakie musieli czekać, nim dla nich mieszkanie ostatecznie uporządkowano; obecnie zamieszkują już własny domek, nie bogaty, ale wygodny i odpowiadający ich celom. Pierwszą ich pracą było urządzenie małej szkółki dla terminatorów: niemałe to przedstawia trudności dla nieumiejących słowa po chińsku.

Przyjemną niespodzianką było dla naszych, gdy przy oddawaniu im domu zaprowadzono ich w końcu do obszernego lokalu urządzonego na zecernię i drukarnię: doskonale w nim wszystko obmyślone i wzorowo urządzone. Będzie można zaraz wziąć się do dzieła: pracy na razie nie zabraknie, gdyż ofiarowano nam drukowanie tutejszych „Wiadomości Dyecezyalnych.“

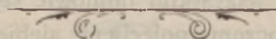
Perú. — Nowy plac pod budowę zakładu nabył w ostatnich czasach nasz ks. Inspektor Santinelli na błoniach zdrowych i uroczo położonych, okalających miasto Cuzco w rzeczpltej Perú. Była to dawna stolica pierwotnych mieszkańców tych krajów, Inkasów. Z zamierzchłej przeszłości przechowały się dotąd ruiny olbrzymiej świątyni słońca, jak również tytaniczne mury cytadeli. Hiszpanie zajęli to miasto w roku 1543 pod wodzą gen. Pizzarro, poniszczyli pamiątki historyczne, wytępili ród waleczny i kulturalny, utwierdzając na gruzach cywilizacyi Inkasów swe panowanie. Z czasu tych podbojów nieliczne przechowały się aż do dni naszych pamiątki. I tak w katedrze w Cuzco do dziś stoi ołtarz, na którym pierwszy kapłan katolicki, jaki dotarł do Perú, O. Valverde, późniejszy biskup Cuzco, odprawił mszę św. w stolicy Inkasów. Dalej przechowują tam stary obraz Matki Boskiej, zawieszony na pamiątkę zwycięstwa odniesionego nad przeważającą znacznie siłą Indyan, pod wodzą dzielnego Inca Manco. W końcu wielki krzyż zwycięstwa, wzniesiony przez tegoż O. Valverde, pod którym po dokonanym podboju uklękli Pizzarro i Almagro obok Atahualpy i Manco II, t. j. najezdnicy i podbici. Otóż w tej czarującej dolinie, u stóp Andów, powstanie nowa instytucya dobroczynna, gdzie setki terminatorów nauczą się zapracować sobie uczciwą pracą na chleb powszedni.

Matto Grosso. — Z naszych prac misyjnych wśród *Indyan Bororos* umieściliśmy już pierwszą część obszernej relacyi ks. inspektora Ant. Malan. W następnym numerze, jeżeli nawał materyału nie stanie temu na przeszkodzie, pojawi się dalszy ciąg tej interesującej kroniki, świadczącej o pracy i zapobiegliwości naszych współbraci.



UWAGA.

Zdarza się nierzadko, iż osoby pobierające Wiadomości Salezyańskie zmieniają miejsce zamieszkania, a zaniedbują lub zapominają nas o tem zawiadomić. Powstaje stąd niemały dla nas kłopot, ponieważ Wiadomości wysyłane pod zwykłym adresem, bywają nam następnie zwracane z suchym dopiskiem: „adresat wyjechał niewiadomo dokąd.“ Upraszamy przeto przeprowadzających się, by zechcieli nam w takich razach nadesłać w otwartej kopercie opaskę jednego z numerów naszego czasopisma, i wypisać na niej swój nowy adres. W ten sposób nie nastąpi żadne opóźnienie ani przerwa w dalszem regularnem doręczaniu im Wiadomości Salezyańskich.



WIADOMOŚCI POTOCZNE

EUROPA.

DASZAWA. — Wizyta J. Eks. ks. Arcb. Teodorowicza. — Nader miłą niespodziankę sprawił naszym współbraciom w Daszawie ks. Arcb. Teodorowicz w zeszłym listopadzie. Chociaż w spóźnieniu podajemy wiadomość o niej naszym czytelnikom, gdyż jestto złota karta w kronice tego Zakładu. — Mimo utrudzenia, piszą nam, z powodu rekollekcyi, jakie sam przez trzy dni z rzędu głosił był w Kochawinie dla pań z wyższej inteligencyi, raczył łaskawie zaszczycić nasze ustronie swą dostojną osobą. Radość i uniesienie było tem większe, im mniej spodziewana taka wizyta. Powitanie odczytał jeden z nowicyuszów, na co złotousty Prałat odpowiedział w dłuższej przemowie, wyrażając swą sympatyę dla powstającej instytucyi, a w końcu zachęcając młodych kleryków, aby pod kierownictwem swych przełożonych starali się przygotować do wielkiego zadania, jakie naszemu Zgromadzeniu Opatrzność zdaje się przeznaczyła w skołatanej ojczyźnie. Zadaniem tem rozwiązanie palącej kwestyi czasów bieżących przez rzucenie trwałego pomostu, któryby łączył warstwy rękodzielnicze z klasami uprzywilejowanemi; a pomostem tym podniesienie po ziomu kultury i oświecenia wśród czeladzi rzemieślniczej. Tak trzeba kształcić opuszczoną i na niebezpieczne zboczenia narażoną młodzież, iżby wyszła w świat z trwałą podwaliną zasad katechizmu katolickiego, ale zarazem z takim zasobem uświadomienia społecznego, iżby nie tylko umiała uniknąć szponów żywiołów przewrotowych, ale stać się podwaliną potężnych organizacyi katolickich przemysłowców i rzemieślników.

,,Wzorem takiej pracy — kończył dostojny mówca — to wielki wasz założyciel ks. Bosko; duchem zaś ożywiającym i sprężyną: reguły waszego Zgromadzenia.''

Kazał się następnie J. Exsc. oprowadzić po całym zakładzie, wypytując z wielkiem zajęciem o najdrobniejsze szczegóły dotyczące tak Salezyanów, jak i stosunków materyalnych, kulturalnych i politycznych kolonistów, będących pod ich bezpośrednią opieką duchowną. Swemi odwiedzinami uraczył także nasze blizkie sąsiedztwo, ochronkę WW. SS. Rodziny Maryi, nie szczędząc i im szczerych pochwał i zachęt. O godz. 6-tej udzielił błogosławieństwa Przen. Sakramentem, poczem miał do całego zakładu krótką, lecz pełną głębokiej treści i nadzwyczaj zajmującą egzortę o śmierci, z okazyi przypadającej na ten dzień praktyki ćwiczenia dobrej śmierci.

Wieczorem zasiadł J. Eksc. do wspólnego stołu z nami, rozmawiając jak najpoufalej z każdym. O 1/2 do 8mej pożegnał nas i odjechał z powrotem do Lwowa. Drugą pocieszającą wieść musimy również w spóźnieniu podać z powodów nieprzewidzianych, a jest nią sprawozdanie o budującej pobożności, z jaką tameczna ludność, za zachętą swego proboszcza, spędziła ostatnie dni zapustów.



X. Rua w kolonii Pinheiro.

— Uroczyste czterdziestogodzinne nabożeństwo w kaplicy salezyańskiej w Daszawie. — Z nadzwyczajną uroczystością odprawiono po raz pierwszy w kaplicy daszawskiej nabożeństwo czterdziestogodzinne. W niedzielę rano po Mszy św. wspólnej wystawiono uroczyście z asystencyą Przenajśw. Sakrament w kaplicy zakładowej, a Panu Jezusowi niezawodnie bardzo było przyjemnie, iż nie tylko adorowały go z nadzwyczajną pobożnością osoby należące do zakładu, ale także w znacznej liczbie ludzie z parafii miejscowej, którzy zmieniali się co kilka godzin, ale tak, iż kościół zawsze był pełen. Zwykłe praktyki pobożne nowicyuszów odprawiano przez wszystkie trzy dni przed Najśw. Sakramentem; oprócz tego codziennie była Suma i nieszpory z asystencyą, jak się to zwykło odprawiać w naj-

większe uroczystości roku, przyczem wygłaszano odpowiednie kazania. Poza czasem wspólnych praktyk pobożnych zostawało zawsze po sześciu zmieniających się co godzinę członków zakładu z przełożonym, oprócz ludzi ze wsi, z których trzydziestu asystując ze świecami i modląc się, pozostawało w kościele bez przerwy po cztery i pięć godzin. W czasie tych trzech dni wszyscy w zakładzie bez wyjątku, jako też miejscowe dzieci szkoły polskiej i ogromna liczba ludzi przystąpiła do Stołu Pańskiego.

Na zakończenie *ostatków* odbyło się w zakładzie w poniedziałek wieczorem przedstawienie teatralne sztuki: *Dziedzictwo syna niewdzięcznego* dla dzieci polskich i ruskich z Daszawy; we wtorek wieczorem miało miejsce to samo przedstawienie dla okolicznych gości, którzy też w znacznej stawili się liczbie. — Nabożeństwo czterdziestogodzinne zakończono uroczyście we wtorek po południu błogosławieństwem i hymnem *Te Deum laudamus.*

Następca X. Bosko w Portugalii. — Nasz czcigodny X. Jenerał udając się z Turynu na inauguracyę *Szkoły zawodowej św. Józefa w Lisbonie*, zapragnął przy tej sposobności zwiedzić także inne zagraniczne zakłady salezyańskie i polecić je szczodrobliwości miejscowych Pomocników. Przyjmowany wszędzie z oznakami najgłębszej czci i najwyższego szacunku nie tylko przez Salezyanów, lecz również przez naszych dobrodziejów, zdołał swoją obecnością i swojem słowem dać lepiej poznać najgwałtowniejsze potrzeby różnych fundacyi i zapalić umysły do czynu. To też jego podróż (jesteśmy o tem najmocniej przekonani), jak z jednej strony przyniosła wielką pociechę Salezyanom, tak z drugiej pobudzi owych zacnych Pomocników do tem gorliwszej pracy dla dobra młodzieży.

Dla braku miejsca nie możemy tu wyliczać ani wszystkich miejsc, w których się nasz Przełożony zatrzymał, ani opisywać wspaniałych przyjęć, jakie mu wszędzie zgotowano; potrzebaby na to kilku stronic. Ponieważ zatem głównym celem podróży X. Rua do Portugalii było uświetnienie swą obecnością inauguracyi nowego zakładu salezyańskiego w Lisbonie, pomówimy tu pokrótce o jego tamże pobycie.

Nie możemy atoli zamilczeć, iż czcigodny X. Rua przebywszy Francyę, udał się najpierw do wysp Normandzkich a stamtąd do Anglii, dla odwiedzenia naszych współbraci i dobrodziejów w *Guernesey*, w *Londynie* i we wszytkich salezyańskich domach angielskich. Prawdę powiedziawszy, nie miał on, wyjeżdżając z Turynu, zamiaru puszczać się aż do Anglii; otrzymawszy jednak — gdy już był w podróży — wieść o odłożeniu na później inauguracyi zakładu lisbońskiego, skorzystał z tego, by ucieszyć swemi odwiedzinami innych swoich synów.

Z Anglii udał się do Hiszpanii, i na pierwszem miejscu odwiedził (jak już o tem pisaliśmy w poprzednim numerze) dom w *Vitorya*. Stamtąd przeszedł do *Santander*, *Salamanca* i *Bejar*, przyjmowany wszędzie z ogromnym zapałem. Z Bejar (mów: Behar) przeszedł do Portugalii:

W Ermesinde oczekiwał go inspektor domów salezyańskich w Portugalii, X. Piotr Cogliolo, w którego towarzystwie dnia 7. marca wyjechał do miasta **Braga**. Na dworcu czekało nań kilku członków Kapituły, Rektorowie Seminaryów, grupa wychowanków Seminaryum Koncyliarnego, całe Seminaryum św. Antoniego i św. Alojzego, alumni Kolegium św. Ducha i Szkoły św. Piotra, kapela Zakładu św. Józefa, liczne Stowarzyszenia ze swymi sztandarami, nasze Kolegium św. Kajetana ze swoją kapelą i wielu zakonników. Zaledwie się X. Rua ukazał, ze wszystkich stron zaczęto wznosić radosne okrzyki na cześć X. Bosko i dzieła salezyańskiego. Nazajutrz odbyło się w naszem kolegium wielkie święto, uwieńczone świetnym wieczorkiem muzyczno-wokalnym, w którym wzięło również czynny udział kilku dzielnych mowców z miasta. Przy tej okazyi czcigodny nasz Przełożony miał sposobność polecić ze skutkiem założenie kaplicy świątecznej.

Z Bragi wyjechał do **Vianna do Castello**, przyjęty także tu z wielkim zapałem i uczczony wspaniałym wieczorkiem. Następnie wstąpił jeszcze raz do Hiszpanii odwiedzić nasze kolegium w *Vigo* i stamtąd dopiero, przeszedłszy ponownie granicę, po krótkim przystanku w *Oporto* udał się wprost do **Lisbony**. Przybył tam 15. marca o 10 1|2 wieczorem i — mimo tak późnej godziny — zgotowano mu jak najmilsze przyjęcie. W następne dni przyjął i złożył kilkanaście wizyt różnym dobrodziejom i zakładom, nie wyłączywszy naszej kolonii rolniczej w **Pinheiro**, aż nadszedł 19. marca, uroczystość św. Józefa, dzień naznaczony na solenną inauguracyę.

W wigilię przybyły, razem ze swymi dyrektorami i nauczycielami, kapele naszych kolegiów w Braga i Vianna, i wszystkie społem poszły złożyć hołd J. E. Najprzew. Nuncyuszowi Apostolskiemu, którego imieniny przypadały nazajutrz. J. E. Mgr. Józef Macchi raczył przyjąć osobiście małych grajków, którzy dali koncert przed pałacem Nuncyatury, i pomówić z nimi uprzejmie. Jeden z nich wyraził przytem J. E. najserdeczniejsze życzenia w imieniu swych towarzyszów, co dostojnemu Solenizantowi sprawiło niemałą przyjemność. Najprzew. X. Nuncyusz zaprosił naszego czcigodnego Przełożonego do swego stołu — i wśród doborowego grona kapłanów zakonnych i świeckich posadził go po swej prawicy.

Nazajutrz X. Rua odprawił Mszę św. wspólną, w czasie której przypuścił dwunastu wychowanków do pierwszej Komunii św.; jego towarzysz podróży, X. dr. Józef Bertello, celebrował sumę z towarzyszeniem doborowej muzyki kościelnej. Przy obiedzie wychowankowie bratali się wesoło ze swymi

towarzyszami z Braga i Vianna; dobrodzieje zaś nowego zakładu zasiedli do skromnego bankietu wokoło X. Rua. Przewodniczył J. E. Najdostojniejszy X. Nuncyusz.

Wreszcie o godz. 2 po południu otworzyły się podwoje zakładu i wielki tłum ludu zaczął napływać i zwiedzać obszerne lokale, podziwiając ich piękność i przedziwne urządzenie. Autorem całego projektu zakładu jest architekt turyński a zarazem profesor Akademii Sztuk Pięknych, p. Maryusz Ceradini.

Nad wieczorem odbył się stosowny wieczorek muzyczno-deklamacyjny. Przewodnictwo raczyli objąć Najdost. X. Nuncyusz Apostolski, J. E. X. Arcybiskup tytularny Mitylene, J. E. X. Biskup tytularny Trajanopolis, przedstawiciele władz cywilnych, oraz wiele osobistości z najwyższej arystokracyi. Wieczorek rozpoczęto odczytaniem następującego telegramu:

Przew. X. Michał Rua, Przełożony XX. Salezyanów w Lisbonie.

Ojciec św. przyjmując łaskawie życzenia przesłane sobie z okazyi imienin, wzywa potężnej opieki św. Józefa na nowy gmach « Szkół Zawodowych św. Józefa » *i błogosławi pobożnemu Zgromadzeniu Salezyańskiemu, jego godnemu Przełożonemu i dobrodziejom.*

Kard. MERRY DEL VAL.

Przez to błogosławieństwo uznano jako inaugurowany ów wspaniały gmach, który przynosi wielki zaszczyt przezacnym Pomocnikom lisbońskim, a jednocześnie umożliwi tamtejszym naszym współbraciom przyjęcie większej liczby młodzieży.

Dnia 22. wyjechał X. Rua zwiedzić zakłady salezyańskie w *Madrycie*, *Valencyi*, *Sarria*, *Barcelonie*, *Mataró* i *Geronie*, przyjmowany również i tam z wielkiem uniesieniem przez współbraci, wychowanków i dobrodziejów, aż wreszcie w Niedzielę Palmową o ósmej rano stanął z powrotem w Oratoryum św. Franciszka w Turynie — i po krótkim wypoczynku zabrał się zaraz do odprawiania funkcyi Wielkiego Tygodnia.

AZYA.

BETLEEM. — Sprawozdanie z czynności Ochronki katolickiej. — W liście adresowanym do jednego z główniejszych dobrodziejów tejże Ochronki, miejscowy X. dyrektor wyraża się w tych słowach: Obecne nasze położenie jest mniej więcej takie, jak i zeszłego roku. Ochronka mieści w sobie przeszło sto sierot wychowywanych po chrześcijańsku i uczących się jakiego rzemiosła, które im potem umożliwi zarobić sobie uczciwie na chleb powszedni.

Szkoła bezpłatna, otworzona dla eksternów, liczy 220 uczniów, podzielonych na siedm klas. Nauka bywa udzielaną przez nauczycieli przychodnich, gdyż wciąż jeszcze brak nam odpowiedniego personału. Internat wstąpił w drugi rok swego istnienia; liczy na razie trzydziestu pięciu synów zamożniejszych rodzin betleemskich.

Do naszego kościoła Najsł. Serca Jezusowego schodzi się tłumnie ludność, która w ostatnich latach znacznie się pomnożyła. Przed trzydziestu laty Betleem liczyło zaledwie kilkaset rodzin; dzisiaj natomiast ma już 10.000 mieszkańców i ludność



X. Rua w zakładzie salezyańskim w Braga.

jego ciągle się wzmaga, pomimo iż wielu emigruje do Ameryki za zarobkiem, a często osiedla się tam na stałe.

Urzędowe cyfry różnych wyznań są następujące:

Katolików ob. ł. . .	4501	Katolików ob. gr. .	172
Schizmatyków . . .	3881	Protestantów	132
Muzułmanów . . .	788	Koftów	12
Ormian	175.		

Liczba katolików obrządku greckiego jest w rzeczywistości o wiele wyższą, niż ją podają księgi administracyi tureckiej; trzeba atoli wiedzieć, iż przejście z jednego obrządku do drugiego w cywilnych księgach tureckich tylko wówczas ma miejsce, gdy wnioskowi osoby interesowanej towarzyszy dobry *bakczysz* (łapówka). Prócz tego schizmatycy mając w tem interes, by urzędowa

liczba ich stronników się nie zmniejszała, używają swego wielkiego wpływu u władz tureckich, aby przeszkodzić wszelakim zmianom.

Katolicy obrządku greckiego, składający się po większej części z rodzin niezamożnych, mają u władz tureckich jedynie moralne poparcie Ochronki. Istotnie parafia grecko-katolicka (od czasu swego powstania) ciąży wyłącznie na naszych barkach, chociaż, z wielkim naszym żalem, nie jest nam możliwem przyczynić się do jej lepszego rozwoju bądź to dla braku środków pieniężnych, bądź też z innych względów.

Naszem głównem staraniem jest zapewnienie chleba codziennego naszym sierotkom, gdyż cały ten światek ma zawsze apetyt wyśmienity. Gdybyśmy się z tą sprawą mogli załatwić, pozostałyby nam jeszcze do wykończenia — i co do tego pokładamy naszą ufność w Opatrzności Boskiej i w szczodrobliwości naszych Dobrodziejów — prace o bezsprzecznej użyteczności. Pomiędzy temi pracami pierwsze miejsce zajmuje wystawienie portyku, któryby naszych chłopców ochraniał przed upałem w lecie, a przed deszczem w zimie. Dotychczas, dla braku środków, nie można było wykonać tego projektu, stąd kurytarze domu służą w dalszym ciągu za dziedziniec rekreacyjny.

Trzebaby także powiększyć naszą stolarnię: zbudowana z początku ze zbyt wielką oszczędnością, nie odpowiada więcej obecnym potrzebom. Jej dach cynkowy bardzo mało tylko chroni przed upałami letnimi, które niekiedy czynią taką samą temperaturę, jak w ołowianem więzieniu w Wenecyi. Niedogodność tego dachu jest wręcz odmienną w zimie, kiedy to chłód i deszcz wystawiają na niejedną próbę silną konstytucyę naszych chłopców oraz ich nauczycieli.

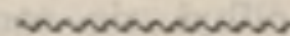
Kilka klas powinno być koniecznie rozszerzonych, aby odpowiedzieć warunkom hygieny. Jeśli Ochronka, w czasie swego powstania, mogła zaspokoić ówczesne potrzeby, obecnie już tak nie jest, gdyż ze wzrostem ludności pomnożyły się również jej potrzeby. Dlatego właśnie niezbędnem jest ulepszenie i powiększenie Ochronki, jeśli chcemy stać na wyżynie naszego zadania i walczyć z korzyścią z naszymi sąsiadami schizmatykami i protestantami, którzy z ogromnym nakładem pieniężnym budują pyszne gmachy, gdzie innowiercy z całą pewnością — chociaż niestety kosztem swej wiary — mogą znaleźć wszystkie korzyści nowoczesnego postępu w wychowywaniu i kształceniu młodzieży.

Jestto może zbyt wiele domagać się tego wszystkiego od naszych gorliwych dobrodziejów, których niestrudzone miłosierdzie musi myśleć o utrzymaniu już i tak wielu niezbędnych dzieł... lecz nasza ufność w Opatrzność Boską jest niezachwianą.



Z NASZEGO SKARBCA

czyli odpusty, jakie zyskać mogą Pomocnicy Salezyańscy w miesiącu czerwcu.



POMOCNICY Salezyańscy, którzy wyspowiadawszy się i przyjąwszy Komunię św. nawiedzą nabożnie jaki kościół lub kaplicę publiczną i tam na intencyę Ojca św. się pomodlą, zyskać mogą w miesiącu czerwcu następujące odpusty:

A — *Zupełne:*

a) W dzień Zielonych Świąt (3. czerwca).

b) » » Św. Trójcy (10. czerwca).

c) » » Bożego Ciała (14. czerwca).

d) » » Św. Jana Chrzciciela (24. »).

e) » » Wspomnienia św. Pawła Apostoła (30. czerwca).

f) We wszystkie dni oznaczone ostatnią razą głoskami *a*, *b*, *c* i *d* (Zob, str. 93).

B) — *Cząstkowe:*

a) W sobotę, wigilię Zielonych (2. czerwca): *Odpust 10 lat i tyluż kwadragen.*

b) We wszytkie dni oktawy tychże świąt, aż do soboty włącznie, wliczając w to Suche dni: *Odpust 30 lat i tyluż kwadragen.*

c) Odpust *siedmiu lat i tyluż kwadragen*, Ilekroć odnowią poświęcenie siebie samych Najśw. Sercu Jezusowemu, oraz ilekroć uczyć będą bliźnich służyć do Mszy św.

Wszystkie powyższe odpusty ofiarować można za dusze w czyścu cierpiące.





ŁASKI
Najświętszej Maryi Panny
Wspomożenia Wiernych.

Jesteśmy przekonani, iż w bolesnych wydarzeniach bieżących czasów nie pozostają nam inne pociechy, jak tylko niebieskie, a między temi pierwsze miejsce zajmuje możne pośrednictwo Tej błogosławionej, która w każdym czasie była Wspomożycielką Chrześcijan.

PIUS X.

Uzdrowienie dziecka.

Zeszłego roku synek mój sześciomiesięczny zachorował, a do tego zrobił mu się wrzód na nodze; wszelkie zabiegi i starania lekarskie nic mu nie pomagały. Byłam z tego powodu wielce strapiona, bo przez kilka tygodni całemi nocami musiałam czuwać, — a dziecko ani oka nie zmrużyło. Jako pomocnica, postanowiłam udać się do Najśw. Maryi Panny Wspomożenia Wiernych i posłałam (na ile mnie stać było) ofiarę na odprawienie nowenny. Przyobiecałam zarazem, że jeśli dziecko wyzdrowieje, ogłoszę to w *Wiadomościach Salezyańskich*.

Gdy otrzymałam zawiadomienie o rozpoczęciu nowenny, przyłączyłam się i ja do niej. Nie nadszedł był jeszcze ostatni dzień tejże, a ku memu zdziwieniu dziecku polepszyło się znacznie i niebawem przyszło do zupełnego zdrowia. Składam przeto Matce Boskiej serdeczne podziękowanie i proszę o podanie tego do miesięcznika salezyańskiego.

Siepietnica (Galicya), 20-3-1906.

Marya Słowikowa
pom salez.

***

W zeszłym roku byłam w ciężkiem położeniu i to nie tylko dlatego, że spodziewałam się słabości, ale ponieważ ciągle byłam cierpiąca. Dodawszy do tego różne zmartwienia domowe i bolesne wrażenia, jakie stąd odnosiłam, słusznie obawiałam się o swoje życie. Lecz gdy wspomniałam sobie, iż Marya Wspomożycielka jest naszą najlepszą Matką i Pocieszycielką, i że wielu ludziom prawie cudownie przychodzi w pomoc, jeśli Ją o to proszą, wówczas i mnie przyszła chęć pójścia ich śladem. Tak też uczyniłam.

I oto dziś usta moje nie mogą wyrazić tego, co serce czuje ku tej dobrotliwej Królowej Nieba, za Jej to bowiem przyczyną Bóg litościwy raczył mnie wysłuchać i pocieszyć. Dziecina przyszła na świat szczęśliwie i chowa się zdrowo, ja również czuję się dobrze, a także stosunki rodzinne pomyślnie się ułożyły.

Za wyświadczone mi dobrodziejstwo wyrażam Ci, o potężna Wspomożycielko Wiernych, mą najżywszą wdzięczność i polecam się Twej dalszej opiece.

Barcin (W. Ks. Poznańskie). 26-3-1906.

Wanda Michalak.

***

Dotrzymując danego słowa, składam Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Przeczystej Dziewicy, Maryi Wspomożycielce, publiczne dziękczynienie za doznanie wielu łask, a szczególniej za otrzymane napowrót zdrowie po ciężkiej chorobie. Posyłając skromną ofiarę przekazem pocztowym na mszę dziękczynną, proszę przytem o inne jeszcze łaski bardzo mi potrzebne.

Jezierna (Galicya), 18-3-1906.

A. Gardolińska.

Podwójna łaska.

Przed trzema laty zachorowała mi córeczka na zapalenie płuc. W trwodze najwyższej udałam się o pomoc do Najśw. Panny Wspomożycielki, przyrzekając w razie pomyślnego przebiegu choroby podziękować Jej publicznie i zakupić mszę dziękczynną. Córeczka wnet przyszła do zdrowia, ale ja zaniedbałam wykonać przyrzeczenia.

Na samym zaś początku tego roku obawiałam się wielkiej przykrości dla mego męża. Odprawiłam więc nowennę do Matki Boskiej na intencyę, aby go uchroniła od owej przykrości — i przyobiecałam znowu podziękować publicznie i zamówić mszę dziękczynną. Łaskawa Wspomożycielka Wiernych, niepomna mego niedbalstwa, przychyliła się również tą razą do mych próśb. Dzisiaj zatem czynię zadość obydwu przy-

rzeczeniom i przesyłam 10 marek na odprawienie Mszy św. dziękczynnej przed cudownym obrazem Najśw. Maryi Panny Wspomożenia wiernych.

K*** (W. Ks. Poznańskie), 21-3-1906.

H. T.

*
* *

Królowo Nieba i ziemi składam Ci najpokorniejsze dzięki za wszystkie łaski i dobrodziejstwa tylokrotnie już doznane, a nawet i teraz, gdy syn mój Włodzimierz ciężko zachorował, i również ja dostałam silnego zawrotu głowy; co chwila zdawało mi się, że upadnę. Poleciłam się tedy Matce Boskiej, prosząc o ratunek; kazałam także odprawić nowennę i przyobiecałam posłać (w razie wysłuchania) ofiarę na Mszę św. dziękczynną.

Uiszczam się niniejszem z danego przyrzeczenia, gdyż Najśw. Marya Panna Wspomożycielka, ta najlepsza Lekarka chorych, przywróciła upragnione zdrowie mnie i synowi. Ku czci i chwale potężnej i dobrotliwej Wspom. Wiernych proszę zamieścić te kilka słów w *miesięczniku salezyańskim.*

Mosty wielkie (Galicya).

Paulina Kaczkowska.

*
* *

W końcu zeszłego roku rozchorował mi się niebezpiecznie synek mój jedyny Józio. Ja wierząc szczerze w pomoc Najśw. Panny Maryi Wspomożenia, uciekłem się wraz żoną do tej Pani najlitościwszej i posłałem 10 koron na odprawienie Mszy św. w intencyi chorego. Skutek tejże był iście cudowny, bo zaraz tego samego dnia synkowi się polepszyło, a po tygodniu był już zdrów zupełnie.

Na początku zaś b. r. miałem przykrą sprawę sądową, która bardzo łatwo mogła się skończyć nie po mojej myśli. Lecz skoro tylko westchnąłem do Matki Boskiej Wspomożycielki, zaraz owa sprawa wzięła pomyślny dla mnie obrót.

Za doznane łaski wyrażam Pannie Najświęszej mą najżywszą wdzięczność i proszę o umieszczenie tego we *Wiadomościach Salezyańskich.*

Dobra (Galicya), 21-3-1906.

Michał Krajnik.

*
* *

Za wyzdrowienie synka najserdeczniejsze dzięki składam M. B. Wspomożeniu wiernych, do której z ufnością się udawałam i przyrzekłam (po wyzdrowieniu) o łasce tej w „Wiadomościach Salezyańskich" ogłosić. Czynię to obecnie w tej myśli, by każdy uciekał się do możnej Wspomożycielki w swych utrapieniach.

Podobne dziękczynienie składam za wyzdrowienie mej mamy, o której wyleczeniu doktorzy już całkiem zwątpili i jedynie za przyczyną niebieskiej Lekarki przyszła ona do zdrowia ku zdumieniu wszystkich znajomych.

Maryo, Wspomożenie wiernych, módl się za nami!

R*** (Galicya), 26-3-06.

A. S.

Dobroć Maryi Wspomożycielki.

W grudniu z. r. zachorowały mi dwie córki ciężko na dyfteryę i szkarlatynę. Stan ich był niebezpieczny. A gdy pomimo starannej opieki lekarza silna gorączka nie zmniejszała się przez kilkanaście dni z rzędu, ja będąc bardzo strapiona, udałam się z prośbą do WW. XX. Salezyanów, aby odprawili Mszę św. przed cudowną Matką Boską Wspomożycielką na intencyę wyzdrowienia moich dzieci. Ja zaś odmawiałam z ufnością i wiarą w pomoc Maryi nowennę poleconą mi przez Wielebnych Księży.

Także przed cudownymi obrazami w kościołach krakowskich odprawiano Msze święte na wspomnianą intencyę.

Matka Najświętsza ulitowała się nade mną i wysłuchała próśb moich, bo po odprawieniu nowenny gorączka ustała i dzieci zaczęły odzyskiwać siły, a obecnie są już zdrowe ze wszystkiem.

Z wdzięczności za doznaną łaskę załączam dziesięć koron na odprawienie dziękczynnej Mszy świętej i proszę o ogłoszenie tego w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Podgórze (Galicya), 19-4-1906.

Antonina Schreierowa.

*
* *

Dziękujemy Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i M. B. Wspomożycielce Wiernych za odebrane łaski. Przyrzekliśmy dać 50 marek na cele salezyańskie, jeżeli prośby nasze zostaną wysłuchane, — a ponieważ tak się stało istotnie, z przyjemnością dotrzymujemy danego słowa.

Starzyn (Prusy Zachodnie), 7-4-1906.

Jan i Marta Łabuda.

*
* *

Najserdeczniejsze dzięki składam Najsłodszemu Sercu Jezusowemu i Matce Najśw. Wspomożycielce wiernych za doznane łaski polepszenia w interesie. Jednocześnie przesyłam dwie marki na Mszę św. dziękczynną.

Rogoźno (W. Ks. Poznańskie), 16-4-1906.

M. C.

***

Córka moja będąc już bardzo chorą na gruźlicę płuc, czuła się tak źle, że każda chwila zdawała się być dla niej ostatnią. Wtedy poleciła się opiece Najświętszej Panny z prośbą, by mogła dożyć pierwszego i otrzymać zwykłą pensyę, aby tym sposobem bodaj na trumnę były pieniądze. Przyobiecała zarazem, że jeśli Matka Boska przychyli się do jej prośby, każe przeze mnie przesłać ofiarę na Mszę św. dziękczynną i ogłosić o tem w *Wiadomościach Salezyańskich.* Dobry Bóg za przyczyną Swej Matki najmiłościwszej pozwolił umierającej żyć sześć dni dłużej, niż sama tego żądała, tak iż byłam w możności otrzymać w oznaczonym czasie jej płacę nauczycielską.

Jakkolwiek córka umarła 6. lutego b. r., okoliczności pozwalają mi dopiero dzisiaj uczynić zadość danemu przez nią przyrzeczeniu...

Bratkowice (Galicya), 6-4-1906.

KAROLINA DZIUBAKIEWICZOWA.

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

Stanisława Wrzalik z Rydzyny (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Aniela Łukaszkiewicz z Trześni (*Galicya*); Henryk Bolikowski z Campina (*Rumunia*); N. N. z Dębu (*Górny Śląsk*); Franciszek Olszowski z Bochni (*Galicya*); Wanda Cybińska z Krotoszyna (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Ludwika Jurkiewiczowa z Krysowic (*Galicya*); T. Zalisz z *Poznania;* Józef Pociej, nauczyciel, z Grybowa (*Galicya*); Marya Papuzińska z Chełmku (*Galicya*); Ludwika Kozakówna z Zatora (*Galicya*); R. F. z K. (*Górny Śląsk*); Józef Koczałkowski z Konolep (*Galicya*); L. Sz. z *Poznania;* Adela Semowonyk z Krasiejowa (*Galicya*); Walerya Wybieralska z Miejskiej Górki (*Wielkie Księstwo Poznańskie*); Józefa Słowikowska z Lublicy (*Galicya*); S. M. D. Tarnowa (*Pomorze*), za ocalenie życia; Hieronim Gołogórski ze Lwowa (*Galicya*), za pomoc w wielkiem nieszczęściu; Stanisława Rymarkiewicz z Rogożna (*Wielkie Księstwo Poznańskie*), za szczęśliwe przejście choroby; Anastazya J. z Reńskiej Wsi (*Górny Śląsk*), za pomoc udzieloną wychowankowi przy składaniu egzaminu; Antoni Geisler ze Lwowa (*Galicya*), za przywrócenie słuchu i zachowanie od niebezpieczeństwa; Wł. St. z Lubowic (*Wielkie Księstwo Poznańskie*), za wyzdrowienie z ciężkiej choroby.

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św. URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść niniejszego pisma wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*



Na wakacye.

Niezadługo otworzą się bramy zakładów wychowawczych i żwawa młodzież, spragniona odpoczynku, swobody, oraz balsamicznej aury pól i łąk kwiecistych, powróci z krzykiem i hałasem pod rodzinną strzechę do kółka familijnego. Ileżto uciechy w domu! Odniósł chłopiec świetną klasyfikacyę, chlubnie się prowadził rok cały — świadectwo przecie ręczy: pocieszył niezmiernie rodziców. — Uściska go matka, całuje ojciec, rodzeństwo patrzy jak na bohatera: zresztą należy mu się zato słuszna nagroda. — Należą mu się również niektóre względy, jak dłuższy wypoczynek, tedy i owedy jaki smaczny kąsek, podarek, kieszonkowe itp. rzeczy, na jakie matki bez żadnych wskazówek zdobyć się umieją, a które użyte w miarę i roztropnie, wzmacniają osłabiony organizm i są jakby odwetem za niejedną niewygodę, na jaką nauka nieraz naraża. Nikt też nie może mieć nic przeciw temu.

Lecz dalej idzie troskliwość niejednej matki. — „Jak jemu ślicznie w tym mundurku! Nie przystoi, żeby go zdejmował!" A że w mundurku wara od pracy, by go nie zwalać, przeto młody panicz cały dzień siedzi wymuskany z założonemi rękoma, a co najwięcej wyjdzie się przypatrzyć pracy drugich. I tu dopiero piękny obraz: ojciec ogorzały, zbłoconą dłonią obciera pot, jaki strugami płynie mu z czoła, reszta rodzeństwa do najmniejszego ugania się koło dobytku, tylko student patrzy z daleka, by się nie zwalać. — Czy wy rodzice wiecie, że on się już wstydzi waszego stanu, że go się wyprze, a co najmniej będzie nim gardził w późniejszem życiu? Bądź co bądź nie najlepiej to działa na jego młodociane serce, i nie gdzieindziej jak tu szukać trzeba źródła, które ciągle zasila nasze *sfery wyższe* nizkimi parweniuszami. Dlaczegóż miałby się wstydzić tej pracy, która go utrzymuje w mieście? Żadna praca nie poniża: zapytaj go o tem; on ci na palcach wyliczy starożytnych bohaterów, którzy od pługa i roli odrywali się, by pójść na nieprzyjaciela, a po świetnem zwycięstwie powracali napowrót do gleby. Jeżeli ty, ojcze, dbasz naprawdę o dobro twego syna, jeżeli umiesz się o nie starać, zabierz

z sobą chłopca w pole; niech przy boku twoim pracuje odpowiednio do swych sił. Osiągniesz tym sposobem, że się przywiąże do gleby swych ojców, unikniesz jego zepsucia, a pod względem zdrowia podniesiesz go więcej, aniżeli jakabądź inna kuracya. Wszyscy lekarze zgodni są w tem, że nic lepiej nie oddziaływa na młodzieńczy organizm jak, umiarkowana praca ręczna na wolnem powietrzu: a przedewszystkiem płuca studenta i jego organizm fizyczny muszą mieć znaczną miarę zdrowotności, by mogły być odpornemi na wszytkie wyziewy miejskich bruków i brudów.

Dalej dbaj, ojcze drogi, na książki, jakie twe dziecko bierze do rąk. Prawda, iż on student, ale prawda również, iż on jeszcze młody chłopak, którego stokroć łatwiej zepsuć, niż do dobrego nakłonić. Dość on się napatrzy na złe przykłady: niechże choć w domu owionie go ciepły duch wiary nieskalanej! Ty, ojcze, czytasz dzienniki skrajnie socyalistyczne, bo one podzielają twoje przekonania polityczne; ale czy ty możesz ręczyć za to, iż syn, któremu dajesz w rękę te gazety, podziela je również? Doświadczenie każe ci powiedzieć, iż syn nie polityki będzie tam szukał, ale tego, czegobyś ty nie chciał, żeby tam znalazł.

Jesteś amatorem sztuki i literatury? Pamiętaj, iż nieraz w złotych kubkach podają truciznę i że to, co karmi dorosły i rozwinięty organizm, zabija istotę młodą.

Ale co ja się znam na książkach, — powie niejeden. — Dobrze, nie znasz się na książkach? poradź się: masz od tego ks. proboszcza, któremu nie mniej jak tobie leży (bo leżeć powinno) na sercu dobro duchowne twego dziecka.

Nie chodzi tu bynajmniej o to, by chłopca odciąć kompletnie do świata, *by się zasklepiał*, ale o to, by go rozumną i troskliwą opieką uchronić od zepsucia, które tylu drogami i bezustannie zakrada się do jego serca. Gdyby każdy ojciec i każda matka pamiętali o tem, iż w czasie wakacyi praca dozorcza tylu nauczycieli spada wyłącznie na nich, i że to ich pierwszy obowiązek i sprawiedliwości i miłości, nie byłyby skutki krótkiego stosunkowo czasu tak opłakane, jak niestety pokazują się corocznie kierownikom internatów, że wyjedzie chłopiec aniołem, a powraca z takim zasobem sztuczek życiowych, a nawet złośliwości, iż nawet parumiesięczna praca nieraz tu nie poradzi.

Jak trudną, żeby nie powiedzieć wprost bezskuteczną, jest praca nad takimi upadłymi, prócz odpowiedzi, jaką dałaby psychologia chłopca, niech posłuży przykład wielkiego pedagoga zeszłego wieku, naszego ojca ks. Bosko.

Przyprowadzono mu raz chłopca wprost fenomenalnego. Pomimo iż liczył dopiero lat trzynaście, do tego stopnia się był przejął naukami antyreligijnemi, iż własny ojciec musiał mu oddać takie świadectwo:

,,Co się z tym chłopcem stało, tego ja już nie wiem; to jedynie fakt, iż zepsuł się, że nic, w porównaniu z nim, stary grzesznik. Czego on nie czytał, czego nie widział; o najgorszych rzeczach rozmawia z aryą zupełnie obojętną, przed żadnym uczynkiem się nie cofnie. Co gorsza atoli, to jakaś dziwna nienawiść i zawziętość do wszystkiego, co z bliższa lub dalsza dotyczy wiary i Kościoła: a przecie familia cała katolicka i nigdy nic bezbożnego w domu nie widział. Dalej: gdy ostatnią razą powrócił z miasta na ferye jesienne, wpadł ledwo do chałupy, złożył manatki i nie pozdrowiwszy nawet nikogo, uciekł zaraz do blizkiej kawiarni, gdzie przy kartach i bilardzie przesiedział do północy. Nie znosi przygany, odpowiada po grubijańsku, odmawia wprost posłuszeństwa komubądź, o kościele zaś ani mu wspominać.'' — ,,Jestem naprawdę zdesperowany'' — mówił dalej biedny ojciec, — ,,po dobroci nic nie mogę wskórać, a ostrością rozjątrzyłbym go jedynie jeszcze bardziej, a może popchnął do jakiego gwałtownego wybryku.''

Otóż tego chłopca ks. Bosko przyjął do swego zakładu wychowawczego i powoli a konsekwentnie doprowadził go do szczęśliwej zmiany uczuć, tak iż ten młody bezbożnik po kilku miesiącach był jednym z uczni podawanych innym za wzór pobożności.

Atoli zaraz na drugiej stronicy czytamy list, jaki ks. Bosko zmuszony był pisać do pewnego ojca w niespełna cztery miesiące po wakacyach.

Wielmożny Panie!

Zwykłem był inne lata dawać Panu pochlebne informacye o synie; dziś niestety mogę wyrazić jedynie ubolewanie nad zmianą jaka w nim zaszła. Odkąd przyjechał po ostatnich feryach, nic poczciwego nie można było z niego wydobyć.

Stracił wszelką chęć do pobożności, rano nie można go ściągnąć z łóżka, a tem mniej nakłonić, by poszedł z drugimi do kościoła. Kilkakrotnie już wyszedł bez żadnego pozwolenia na miasto, w naukach zaniedbał się bardzo, a co najgorsza, lekceważy sobie wszelkie moje napomnienia. Jednem słowem, dalej tak iść nie może, inaczej i ja i Pan Dobr. niemało nabawilibyśmy się kłopotów.

A to wszystko dzięki owym piśmidłom, jakie mu w ręce wpadły: one to zrodziły zamieszanie w jego głowie, a bodaj czy i serca nie zepsuły.

Niech mu Pan ze swojej strony napisze, czy się nie upamięta.

Uniżony sługa

Ks Jan Bosko.

Chłopiec otrzymał list ojca, w którym czyniono mu ostre przygany, ale to nic nie poskutkowało; na nic nie przydały się prośby matki, na nic napomnienia dyrektora. Urządził w dalszym ciągu istną szajkę z najoziębłejszymi wychowankami, sprowadzał książki niemoralne, siał nieporozumienia między współuczniami, aż go w końcu ks. Bosko postanowił wydalić ze swego schroniska. Dopiero nadzwyczajny wypadek musiał zajść, by go do zmiany doprowadzić. Takieto skutki dwumiesięcznych wakacyi, i to jedynie dla nieostrożności rodzicielskiej. A czy przy każdym młodzieńcu znajdzie się taki anioł opiekuńczy, jakim był dla swych pupilów ks. Bosko?

Jeżeli tedy nie chcesz, ojcze, przedwcześnie gorzkiemi łzami opłakiwać zepsucia twego syna, nie spuszczaj go ani chwili z oka: a pamiętaj, że wychowanie z gruntu katolickie nie ma na celu porobić z ludzi bigotów, ale chce dostarczyć społeczeństwu prawych i mężnych obywateli.



ŻYWOT
X. biskupa Alojzego Lasagni
Misyonarza Salezyańskiego.

(Ciąg dalszy).

Nic też dziwnego, że po dwóch tak świetnych konferencyach, jednej w kościele N. Panny, a drugiej u św. Marka, sympatya Medyolańczyków dla dzieł salezyańskich wzmogła się i datki na misye posypały się obficie. Opowiadają, że sławny historyk włoski Cezar Cantù był obecny na tych dwóch konferencyach, które niemało się przyczyniły do założenia następnie w Medyolanie zakładu salezyańskiego. Rzeczywiście ks Paschalis Morganti, przełożony Pomocników salezyańskich, pisał d. 16. listopada 1895 r. do ks. Ruy co następuje: ,,Można powiedzieć, że dwie konferencye księdza Lasagni pierwsze dały popęd ruchowi salezyańskiemu w Medyolanie. Ufam też, iż teraz dopomoże nam z nieba w spełnieniu jego gorących życzeń.'' Gorliwy misyonarz udał się następnie do przemysłowego miasteczka Busto Arsizio, dokąd go miejscowy proboszcz wzywał; nazajutrz przemawiał w Casale, gdzie zamieszkiwało liczne grono Pomocników i Pomocnic. Tak przebiegał cały Piemont i Lombardyę, by wszędzie dać poznać dzieło misyi. Nie poprzestał atoli na tem; w przekonaniu, że Francya katolicka zawsze się okaże hojną i wspaniałomyślną, gdzie chodzi o rozszerzenie dobrodziejst religii i cywilizacyi, i poprze go w jego śmiałych zamysłach, udał się do Paryża. Tam nie tracił czasu na podziwianie osobliwości tej stolicy, na zwiedzanie galeryi i muzeów, ale myślał tylko o potrzebach swych kościołów i kaplic. Nie przemawiał publicznie, lecz odwiedzał osoby znane z dobroczynności, a zawsze z dobrym skutkiem: powracał obdarzony to ołtarzem przenośnym, to ornatem lub naczyniami kościelnemi i innemi przyborami. Przez czas tego krótkiego pobytu w Paryżu potrafił sobie pozyskać życzliwość i szacunek wielu osób, które odtąd stale pozostały dobrodziejami jego misyi. Bez obawy, by nas kto posądził o niedyskrecyę, można tu wspomnieć o przygodzie, jaka w tym czasie mu się przytrafiła.

Najlepiej ona poświadczy, jak wielce był poważany i kochany. — Znajdował się w pewnem mieście, które od jakiegoś czasu oczekiwało nowego pasterza na stolicę opróżnioną przez śmierć biskupa. Ks. Lasagna liczył tam wielu osobistych przyjaciół i dobrodziejów.

Ci ostatni postanowili z pomocą wpływowych osobistości, tak świeckich jak duchownych, zanieść do Stolicy Swiętej prośbę, aby im dała za biskupa tego misyonarza, u którego jedni już dawno, inni od czasu konferencyi jaką miał w ich mieście, poznali cnotę, naukę, gorliwość i roztropność. W krótkim czasie zebrano wielką liczbę podpisów, i przez ręce jednego ze znakomitych książąt Kościoła złożono u stóp Ojca świętego prośbę o zamianowanie ks. Lasagnii biskupem tej miejscowości. Niestety było już zapóźno: kilka dni przedtem Leon XIII. prekonizował już tam kogo innego. Było zapisane

w wyrokach boskich, że ksiądz Lasagna będzie wprawdzie biskupem, lecz nie przestając być jednocześnie misyonarzem i Salezyaninem.

Tymczasem ks. Bosko gromadził dla swego kochanego syna chętnych współpracowników i sam pukał o fundusze, których nieodzownie potrzebował, jeżeli miał dalej prowadzić rozpoczęte prace. W krótkim czasie zgromadził dwudziestu sześciu misyonarzy i sześć Sióstr N. Panny Wspomożenia, aby mu towarzyszyli; była to cyfra tak niezwykle wysoka, że dziennik medyolański *Osservatore Cattolico* z dnia 2. grudnia 1886go podając tę pomyślną wiadomość, nie mógł się powstrzymać od zwrócenia na to uwagi. ,,Instytut Salezyański, pisano tam, zaznaczył dzisiaj najpiękniejszą kartę w swych dziejach. Grono 32 misyonarzy oderwało się od pnia macierzystego, aby się udać do pracy wśród niewiernych. Od 200 lat z górą fakt podobny się nie przytrafił.'' Nie przewidywano wtedy, że niedługo potem, w r. 1898, przeszło stu misyonarzy opuści równocześnie dom macierzysty N. Panny Wspomożenia, aby się udać do Kolumbii i krajów sąsiednich. Aby zgromadzić fundusze potrzebne dla tej nowej wyprawy, ks. Bosko napisał ze zwykłą sobie wzruszającą prostotą piękny okólnik, w którym zwacał się nietylko do Pomocników Salezyańskich, ale do wszystkich osób, od których mógł oczekiwać pomocy. Pan Bóg pobłogosławił jego wytrwałemu usiłowaniu; w dniu wyznaczonym na odjazd, 2. grudnia, wszystko było już gotowe.

Zanim opuścił Europę, ks. Lasagna miał jeszcze szczęście, wraz z kilkoma towarzyszami, odwiedzić Rzym. Na audyencyi, której im udzielił Leon XIII., nasz misyonarz skreślił Ojcu św. w najdrobniejszych szczegółach prace jakie przedsięwziął w Brazylii dla dobra młodzieży i emigrantów, oraz swoje plany nawracania dzikich ludów zamieszkujących puszcze tego rozległego państwa. Gdy w końcu dodał, że jako współpracowników w tem dziele zabiera z sobą 32 misyonarzy, Ojciec św. zawołał: ,,Ach, jakże to, co mi mówisz, napełnia me serce otuchą i radością! Niemały to zaszczyt dla Turynu i dla Zgromadzenia Selezyańskiego! Oczekuję stąd błogosławionych owoców dla Kościoła św. i dla waszego Zakonu.''

Ceremonia pożegnalna była nowym tryumfem ks. Bosko. Pokorny kapłan stanął po lewej stronie ołtarza naprzeciw Jego Em. X. kardynała Arcb. Turynu, mając po bokach Mons. Manacorda, biskupa Fossano, i Mons. Leto, biskupa Samaryi. Gdy odczytano zwykłą w takiej okoliczności odezwę, ks. Lasagna wszedł na ambonę i wypowiedział mowę, która poruszyła wszystkich do głębi. Opisał cuda zdziałane przez katolicką propagandę, i olbrzymie widnokręgi otwierające się w Ameryce dla działalności pionierów Ewangelii. Przypomniał w krótkim zarysie początki misyi salezyańskich, tak ciężkie, że obawiano się zupełnego niepowodzenia; opowiedział, jak wtedy Założyciel Salezyanów zwrócił się z gorącą prośbą do swych pomocników, i nie bez skutku. Przedstawił potem, jak ważnem jest nowe stanowisko, na które on skierował swą pracę. Pod potokiem jego słów stanęły słuchaczom przed oczyma krainy odległe, dzikie, pełne niebezpieczeństw, do których mieli się udać odjeżdżający Salezyanie, i opowiedział liczne zajmujące wypadki, których był świadkiem w czasie swej dziesięcioletniej pracy misyjnej. Mówił o dobroczynnej działalności Salezyanów w Patagonii, a gdy opisał pracę ks. Unia w lazarecie dla trędowatych w Agua de Dios, wiele łez popłynęło.

Sympatyczny mowca zakończył swoją konferencyę, błagając Pomocników o wsparcie i o modlitwy. ,,Módlcie się, rzekł, módlcie się za nas, którzy się oddajemy pracy apostolskiej bez żadnej z naszej strony zasługi, bez nauki, ubodzy duchem i ciałem. Jedziemy ochoczo, i tylko jedna rzecz nas boli: podczas gdy będziemy opowiadać wiarę św. poganom, i kiedy ich tylu pociągniemy do prawdy, tutaj, w naszym pięknym kraju i w Europie, zostawiamy tylu niedowiarków, upartych wrogów tejże wiary świętej. W tych dzikich krajach, do których się udajemy, nie przestaniemy błagać Boga, aby zachował ojczyźnie święty skarb wiary.''

Po skończeniu tej wspaniałej przemowy nastąpiło błogosławieństwo Najśw. Sakramentem. Ale, jak już zaznaczyliśmy, na tej ceremonii był również obecny Arcybiskup Turynu, X. kard. Alimonda. Nie mógł on opuścić tej sposobności bez wypowiedzenia do misyonarzy kilku słów pożegnania i zachęty. ,,Głos boży, wysyłający Apostołów na opowiadanie Ewangelii na całym świecie, bez przestanku daje się słyszeć w kościele katolickim, a Papież, Namiestnik Chrystusowy, obejmuje swem sercem wszystkie ludy i narody. Szlachetnemu sercu ks. Bosko także już Europa nie wystarcza. Posyła swych synów najpierw do Patagonii, potem do Ziemi Ognistej. Idźcie więc waleczni bojownicy Kościoła! Ziemia Ognista oczekuje od was ognia bożego, któryby ją rozpalił i uświęcił. Idźcie i powiedzcie tym biednym dzikim, że mają w Rzymie Ojca, który ich kocha i o nich pamięta. Powiedzcie im, że w Turynie żyje ks. Bosko, i że on, a z nim tysiące serc chrześcijańskich, modlą się za swych braci w Ameryce. Idźcie! — Niech Marya Wspomożycielka czuwa nad wami w podróży. Ta, która zdeptała piekielnego węża, da wam siłę przezwyciężyć wszystkie przeszkody, jakie duch złego mógłby wzniecić na waszej

drodze. Ona was okryje swym płaszczem, który nad wszystkimi narodami się rozpościera, dosięga dzikich i barbarzyńskich ludów, i wszystkich do żywota wiecznego pociąga.“

Tak mówił złotousty dostojnik, a w piersiach misyonarzy wzbierały szlachetne uczucia męstwa i gorliwości, i łzy potoczyły się na krzyże zdobiące ich piersi. — Przeszli następnie kolejno przed ks. Bosko, który z okiem zamglonem i niemy ze wzruszenia dawał błogosławieństwo i uścisk ojcowski; potem udali się na stacyę kolejową i wsiedli do pociągu jadącego do Marsylii, gdzie na nich czekał parowiec *Tybet.*

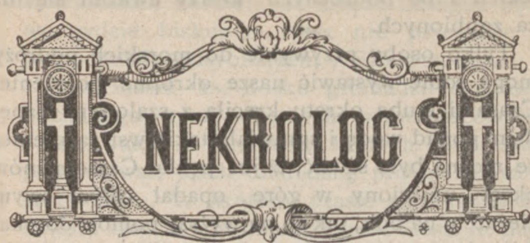
Podróż była nadzwyczaj przykrą, jak o tem świadczy następujący list ks. Lasagnii: ,,Biedni towarzysze podróży! nie zapomną oni nigdy, co wycierpieli w strasznych dwóch dniach 19 i 20 grudnia b. r. Już gdyśmy opuszczali Marsylię dnia 14., morze tak w zatoce Lyońskiej, jak i w zatoce Walencyi srożyło się na nas, ale nie lękaliśmy się go. Niektórzy dostali wprawdzie zawrotu głowy i zwykłych nudności, reszta atoli nie traciła humoru; a dzielniejsi swą wesołością i żartami dodawali odwagi trwożliwszym. Spodziewaliśmy się, że Ocean Atlantycki będzie dla nas łaskawym. Poczciwy kapitan Andreas co chwila powtarzał nam: ,,Tak, w tej porze roku ocean jest mniej wzburzony jak Morze Śródziemne; mogliśmy być przygotowani na burzę w tych stronach, ale skoro tylko przepłyniemy cieśninę Gibraltarską, nastanie zupełna cisza! A my wierzyliśmy temu na ślepo, bo zaprawdę potrzebowaliśmy bardzo wypoczynku i pokrzepienia. Dzień 16. grudnia utwierdził nas w tej nadziei. Rzeczywiście, w miarę jak zbliżaliśmy się do Gibraltaru, wiatr uciszał się i mogliśmy zgromadzić się dokoła jadalnego stołu, co od wyjazdu z Marsylii było niepodobnem. Ale, niestety! złudzenie trwało krótko. Koło północy głuchy grzmot ozwał się w głębiach oceanu; wiatr zaczął dąć z podwójną siłą, wstrząsając okropnie naszym biednym statkiem. Dopiero nazajutrz, koło południa, wody uspokoiły się i mogliśmy opuścić hamaki i kabiny, aby odetchnąć świeżem powietrzem na pomoście. ,,Widzicie, mówił nam kapitan tonem ojcowskim, były to ostatnie wybuchy burzy, która się powoli ucisza; a więc odwagi! wszystko teraz będzie dobrze, złe już przeszło.“

Ale na nasze nieszczęście był to tylko początek daleko straszliwszej burzy. Niebo ze wszech stron było czarne jak noc; morze, które, nawet uspokoiwszy się, ryczało głucho, zaczęło się burzyć wściekle, a wiatr dął gwałtownie, uderzając o boki naszego biednego okrętu. Naturalnie powróciliśmy co prędzej do naszych kajut, uzbrajając się w cierpliwość. O jakże długo trwał ten gwałtowny wybuch, i jaka trwoga ogarnęła wszystkich 1200 podróżnych, którzy uważali się już za zgubionych.

Tylko osoby przywykłe do morskich podróży mogą sobie wystawić nasze okropne położenie. Czasami śruba okrętu kręciła z szalonym rozpędem ponad wodą i sprawiała takie wstrząśnienie, że można było sądzić, iż już pękła. Czasem znów okręt, uniesiony w górę, opadał całym swym ciężarem na bok, tak że najwyższy pomost dotykał fal, które przelewały się przez wierzch okrętu z okropnym łoskotem. Musieliśmy się trzymać w naszych hamakach, żeby nie wypaść na podłogę między kufry i tłumoki, które tłukły się jeden o drugi i tańczyły wkoło kajuty wraz ze szczątkami najrozmaitszych sprzętów, książek, połamanych mebli, potłuczonych flaszek, dzbanków i t. p. Ale podczas gdy ubolewaliśmy nad szkodami wyrządzonemi przez burzę, oto fala gwałtowniejsza wyłamuje drzwi przedsionka, z którego wchodziło się do naszych kajut. Deszcz przebiegł po nas wszystkich. Woda zalewała nas, wciskała się wszędzie; suknie, tłumoki, torby, wszystko było zmoczone. Oficerowie okrętowi, maszyniści i majtkowie, przerażeni tym wściekłym huraganem, błagali kapitana, aby zawrócił okręt i szukał schronienia w jakimkolwiek porcie. Odpowiedział im jednak, że to daremne, bo byliśmy już zanadto oddaleni od wszystkich miast portowych. Rozkazał więc zatrzymać maszynę i postanowił stawić wzburzonym falom bierny tylko opór. W ten sposób przepędziliśmy noc sobotnią, cały dzień niedzielny, drugą noc i część poniedziałku, miotani falami, stojąc na jednem miejscu. W ciągu tego nigdy niezapomnianego i nieskończenie długiego dnia, 19. grudnia, podczas gdy zmoczony od stóp do głowy trzymałem się całemi siłami rzemieni mego łóżka, żeby z niego nie wypaść, zdarzyło się, że stół długi i ciężki o blacie marmurowym, umocowany do ściany, oderwał się od niej wskutek silniejszego wstrząśnienia okrętu. Bujanie okrętu odrzucało go to w jedną, to w druga stronę, aż nagle uderzył o moją poduszkę i byłby mi niewątpliwie głowę roztrzaskał, gdybym jej nie był na czas uniósł. Na mój krzyk nadbiegł majtek i umocował tymczasowo stół do prętów łóżka.

(Ciąg dalszy nastąpi).





ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Bielowska Aleksandra, nauczycielka, — Grębów, *Galicya.*

Bratkowska Agnieszka, — Kraków, *Galicya.*

Budzińska Alojza, — Rydzyna, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Całka Antonina, — Kościan, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Cynalewski Michał, — Nowydwór, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Dembowski Jan, — Grodziczno, *Prusy Zachodnie.*

Dudek Ignacy, — Pawłowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Dziubakiewicz Helena, nauczycielka — Bratkowice, *Galicya.*

X. Fox Józef, proboszcz, — Gierałdowice, *Galicya.*

Gaza Zofia, — Jawiszowice, *Galicya.*

X. Gierszewski Teofil, dziekan, — Ugoszcz, *Prusy Zachodnie.*

Gintrowicz Agata, — Buk, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*

Góral Marya, — Lubliniec, *Górny Śląsk.*

X. Grajewski Franciszek, — Błendowo, *Prusy Zachodnie.*

X. Jaskulski Augustyn, szambelan J. Św., — Biezdrowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Karliński Franciszek Michał, doktor filozofii, kaw. orderu Żelaznej Korony i orderu Franciszka Józefa i t. d. i t. d., — Kraków, *Galicya.*

X. Kegel Juliusz, dziekan, — Krotoszyn, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Klichowicz Anna i Michał, — Kościan, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Klimek Ewa i Józef, — Babalice, *Prusy Zachodnie.*

Korczyk Maryanna, — Jawiszowice, *Galicya.*

Kryszewski N., — Nowydwór, *Prusy Zachodnie.*

Kurek Paulina, — Rybna, *Górny Śląsk.*

Lachmann Jakób, — Kuncewo, *Górny Śląsk.*

Ledziński Franciszek, — Nieciszewo, *Prusy Zachodnie.*

Lipowicz Józef, — Rydzyna, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*

Lubomski Jan, — Kurkocin, *Prusy Zachodnie.*

Mardarowicz Aleksander, nauczyciel, — Radcza, *Galicya.*

Michałowicz Emilia, — Ostrowo, *Wielkie Ks. Poznańskie.*

Mikołajczak Wojciech, — Rydzyna, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*

Misiórny Alfons kl., — Góra, *Wielkie Księstwo Poznańskie.*

Neffe Franciszek, — Bobrek, *Górny Śląsk.*

X. Neumann Wojciech, proboszcz, — Hamersztyn, *Prusy Zachodnie.*

Niklas Wojciech, — Ramlej, *Prusy Zachodnie.*

Piątek Antoni, — Lutoryż, *Galicya.*

Piecuch Agnieszka, — Młyn, *Górny Śląsk.*

Pieniężny Marcin, — Tulce, *W. Ks. Poznańskie.*

Pientka Józef, — Zabrze, *Górny Śląsk.*

Pioch Józef, — Moisz, *Górny Śląsk.*

Rajczakowski Marceli, — Dubienko, *Galicya.*

Ratajczak Maryanna, — Krzywiń, *W. Ks. Poznańskie.*

X. Romaszkan Michał, kanonik i prob. — Śniatyn, *Galicya.*

Ryszka Wiktorya, — Piotrowice, *Galicya.*

Stabrawa Jakób, — Trzyniec, *Śląsk austr.*

Stanusz Ignacy I, — Miechowice, *Górny Śląsk.*

Szanka Franciszek, — Małe Piotrowice, *Górny Śląsk.*

Szuster Antoni, — Kopanina, *Górny Śląsk.*

Targosz Antonina, — Osielec, *Galicya.*

Trzeciak Maryanna, — Połom Wielki, *Galicya.*

Unrug Aniela, — Międzychód, *W. Ks. Poznańskie.*

Wilczak Walenty, — Lipiny, *Górny Śląsk.*

Wojciechowska Marya, — Toruń, *Prusy Zachodnie.*

Wróbel Marcelina, — Lubie, *Górny Śląsk.*

Wróbel Piotr, — Bogucice, *Górny Śląsk.*

Wyrobek Piotr, — Osielec, *Galicya.*

Zakrzewska Ludwika, — Lisko, *Galicya.*

Zaremba Stanisław, — Osielec, *Galicya.*

Zięborakowa Ludwika, — Kalwarya, *Galicya.*



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej. — Redaktor odpowiedzialny: JÓZEF GAMBINO.

Drukarnia salezyańska. (B. S.) — Turyn, 1906.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor na Austro-Węgry: G. B. MONAUNI.